



JENNIFER TAYLOR



**WYSOKO
NAD
ZIEMIĄ**

Tytuł oryginału: An Angel in His Arms

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Mam przyjemność poinformować, że właśnie została pani u nas zatrudniona, panno Lennard. Witamy na pokładzie.

Sharon Lennard nie posiadała się z radości. Gdy tylko znalazła ogłoszenie o pracy w Pogotowiu Lotniczym, wiedziała, że to jest właśnie to. Była dyplomowaną pielęgniarką. Rok wcześniej porzuciła pracę w Londynie i przyjechała w rodzinne strony, by zaopiekować się ojcem po wylewie. Mijały właśnie trzy miesiące od jego śmierci, mogła znów wrócić do pracy. W stolicy dobrze jej się wiodło, czuła jednak potrzebę zmiany. Sama myśl o helikopterze ratunkowym ogromnie ją podniecała.

- Dziękuję! - zawołała. - Aż trudno mi uwierzyć.

- Moja droga, nie mamy lepszego kandydata - zapewnił sir Humphrey Grey, szef tej instytucji. - Ma pani znakomite referencje i doświadczenie. A przecież sukces każdego przedsięwzięcia zależy od zaangażowanych w nim ludzi.

Odwrócił się w stronę mężczyzny siedzącego obok.

- Doktor Dempster dołączył do nas dwa lata temu. Zgodzi się ze mną, mam nadzieję, że obecność w naszej ekipie wykwalifikowanego personelu jest bezcenna. Wierzę, że i pani wniesie tu istotny wkład. Prawda, doktorze?

- Mam wielką nadzieję - odparł mężczyzna z lekkim powątpiewaniem, które zirytowało Sharon.

Matthew Dempster w zasadzie nie brał udziału w rozmowie, czuła jednak wyraźnie, że bacznie przysłuchuje się każdemu jej słowu. Sprawiało to, że właśnie do niego kierowała kilkakrotnie swoje odpowiedzi, choć to nie on zadawał pytania. Z jakiegoś powodu to jego najbardziej chciała do siebie przekonać.

Stwierdziła, że jest niebywale przystojny, po prostu wart grzechu. Miał ciemne włosy, gęste rzęsy ocieniały jego zielone oczy, a brodę ozdabiał dołeczek. Przypominał filmowego amanta. Gdyby nie lekko haczykowaty nos, można by uznać, że przedstawia idealny typ męskiej urody.

- Panno Lennard?

Przyglądając się mu, nie dosłyszała, co doktor Dempster ma jej do powiedzenia. Zaczzerwieniła się, naprędce zbierając myśli. Brakuje tylko, by jej rozmówcy doszli do wniosku, że zaoferowali posadę niewłaściwej osobie.

- Przepraszam, obawiam się, że nie usłyszałam. - Postanowiła niczego nie udawać i spojrzała mu prosto w oczy. - Proszę zrozumieć, jestem tak przejęta...

- Mimo to ufam, że uda się pani nieco opanować, kiedy zaczniemy pracę - odrzekł z obojętnością, która, paradoksalnie, wyolbrzymiała tylko sens jego wypowiedzi. - To zajęcie wymaga nieustannej, ogromnej koncentracji. Nie możemy sobie pozwolić, żeby ktoś z zespołu bywał... roztargniony.

Zacisnęła pięści, ale wcale nie z powodu uwagi, bardzo skądinąd słusznej. Przeraziła się, że Matthew Dempster odgadł, wokół czego krążyły jej myśli. Zmusiła się do uśmiechu, za skarby świata nie chcąc tego okazać.

- Proszę się nie martwić. Nie jestem roztrzępana, zwłaszcza w pracy. Zapewniam pana, że nie będę miała z tym problemu.

Bez słowa pochylił głowę. Sharon nie miała pojęcia, czy skutecznie go przekonała. Szczęśliwie kolejny z członków zarządu zwrócił się do niej z pytaniem, a doktor Dempster trwał w milczeniu do końca spotkania.

Opuściła pokój z westchnieniem ulgi. Nareszcie ma to za sobą! Nie mogła tylko pogodzić się z faktem, że Matthew Dempster ją przejrzał...

Może zresztą jej zainteresowanie nie było dla niego niespodzianką? Mężczyzna taki jak on mógł poruszyć niejedno kobiece serce. Tak czy owak, wygląd to nie wszystko, jak mawiał z dumą jej ojciec, a zatem Sharon postanowiła nie wydawać pochopnie sądów o nowym współpracowniku.

W drodze do wyjścia jęknęła na myśl, że doktor Dempster może nie być tak wspaniałomyślny. Bóg jeden wie, jakie zrobiła na nim wrażenie!

- A to jest nasze pomieszczenie służbowe. Dalekie od luksusu, jak pani widzi, ale wystarcza na nasze potrzeby. Ten obżartuch, który zapycha się grzanką, to Bert Davies, nasz starszy lekarz. Andy Carruthers, pilot, jak zwykle z nosem w książce. Tamten charakterek w rogu to Mike Henderson, który uważa się za naszego radiooperatora, choć wcale nie jesteśmy przekonani, czy czasem nie wpuszcza nas w maliny. Pominęłam kogoś?

To był pierwszy dzień Sharon w nowej pracy. Beth Maguire, lekarka z drugiej zmiany, przedstawiała jej pracowników.

Sharon pozdrawiała wszystkich z uśmiechem, modląc się, by zapamiętać nazwiska. Prawdę mówiąc, od dnia rozmowy kwalifikacyjnej żyła jak na karuzeli. Cztery tygodnie spędziła na intensywnym kursie pierwszej pomocy, odświeżając wiadomości. Musiała też zaliczyć szkolenie z bezpieczeństwa lotu, nawigacji i radiokomunikacji. Nie wsiadła dotąd na pokład karetki, ale czuła się tak, jakby przestała już stąpać po ziemi.

- No tak, jest jeszcze Matt. Jak mogłam zapomnieć? - Beth roześmiała się głośno, dzięki czemu nie dosłyszała spontanicznego jęku Sharon.

Matthew Dempster nie wychodził jej z głowy. Wciąż wracała myślą do ich pierwszego spotkania. Dokuczała jej świadomość, że tak łatwo ją zdemaskował. Pomyśli jeszcze, że ona należy do kobiet zarzucających sidła w miejscu pracy. Liczyła tylko na to, że nie będzie musiała często go widywać. W bazie pracowano na trzy zmiany, każda po dziesięć godzin.

- On pracuje na twojej zmianie? - spytała z nadzieją.

- Nie mam tej przyjemności - pożaliła się Beth. - Nie, nasz czarujący doktor będzie pracował z tobą, a mnie tylko zżera zazdrość. Wiele bym dała, żeby spędzić z nim trochę czasu... O wilku mowa. Właśnie cię obgadywałyśmy.

Beth śmiała się szczerze. Sharon odwróciła się - nie zauważyła, kiedy Matthew wszedł do pomieszczenia. Teraz na jego widok zaschło jej w gardle. Próbowwała przenieść spojrzenie gdzie indziej, ale nie potrafiła.

Wydawałoby się, że jaskrawopomarańczowe ubrania ratowników plasują się gdzieś pod koniec listy najseksowniejszych strojów, ale widać wszystko zależy od tego(kto je nosi. Matthew wyglądał bez wątpienia znakomicie. Jego szerokie ramiona wypełniały obszerną bluzę. Jego nogi...

Sharon szybko przeniosła wzrok z długich nóg mężczyzny na plakat wiszący po lewej stronie jego głowy. Znajdował się na nim portret zaginionego psa i numer telefonu, pod który należy dzwonić po nagrodę. Wpatrywała się weń tak długo, aż nauczyła się tych liczb na pamięć.

- Nie spytam o szczegóły - odparł lekko Matthew, a Sharon usłyszała jakieś niedopowiedzenie w jego głosie i poczuła ukłucie wstydu. Nie wiedziała, czy dostrzegł jej wzrok, ale na wszelki wypadek wołała nie znać odpowiedzi.

- No i słusznie - odparowała Beth, patrząc na zegarek. - Chyba jestem już wolna. Bawcie się dobrze. Obyście nie musieli płacić za naszą cudownie spokojną noc.

Pomachała im i wyszła. Zmiana ekipy przyniosła ze sobą sporo krzątaniny. Matthew odezwał się do Sharon dopiero wtedy, gdy wszystko się już poukładało.

- Rozumiem, że Beth już panią wprowadziła?

- Tak. To bardzo uprzejmie z jej strony - odparła najspokojniej jak potrafiła w tych okolicznościach.

- Musi pani jak najprędzej się w tym zorientować. Często znajdujemy się w sytuacjach niebezpiecznych, a to tym bardziej wymaga zgranego zespołu. Musimy mieć absolutną pewność, że możemy na sobie polegać.

- Rozumiem. Jestem przyzwyczajona do pracy zespołowej. Wbijano mi to do głowy w poprzednim miejscu pracy.

- Zrozumie więc pani także, że nie dopuszczam niczego, co zburzyłoby spójność zespołu, na przykład łączenia życia prywatnego z zawodowym. Bardzo niechętnie patrzę na związki między pracownikami. - Zimne zielone oczy mierzyły ją od stóp do głów. - Będę wdzięczny, jeśli weźmie to pani pod uwagę.

Sharon kompletnie zamurowało. Wystarczająco żenował ją fakt, że uważał za konieczne w ogóle poruszyć tę kwestię. Czyżby nieświadomie dała mu jednak sygnał, że jest nim zainteresowana?

Jeszcze nigdy nie znalazła się w takiej sytuacji. Zazwyczaj to mężczyźni wychodzili z inicjatywą. Nie była próżna, ale doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że mężczyźni nie przechodzą obok niej obojętnie.

Miała prawie metr siedemdziesiąt wzrostu, była szczupła, dobrze prezentowała się we wszystkim, co na siebie włożyła. Także w tym pomarańczowym stroju. Zupełnym przypadkiem kolor ten podkreślał korzystnie jej rdzawozłote włosy i piwne oczy. A Matthew zachowuje się, jakby wystroiła się z jego powodu. Wyprostowała się i spojrzała mu w oczy.

- Rozumiem, co pan mówi, doktorze. Zakładam, że nie jest to jakaś specjalna przestroga dla mnie osobiście, że przechodzi przez to każdy z nowych pracowników.

- A czemu miałbym panią wyróżniać, panno Lennard? -odbił piłeczkę. - Będzie pani traktowana tak jak każdy członek ekipy.

Zanim odszedł, przesłał jej jeszcze jeden lodowaty uśmiech. Nabrała głęboko powietrza i policzyła do dziesięciu, lecz ani trochę nie ochłodziło to gotującej się w niej burzy. Gdyby kazano jej podsumować Dempstera jednym słowem, nazwałaby go arogantem. Z jakąż przyjemnością wymazałaby mu uśmiech z tej jego ślicznej buzi...

Z żalem musiała jednak przyznać, że głupio myśli. Z pewnością nie przyczyni się w ten sposób do harmonii w zespole. W końcu to problem Dempstera, że źle ją ocenił.

Ale czy naprawdę? Jeśli on zechce jej zatruć życie, będzie to także jej kłopot. Pierwszy dzień w pracy miał rzeczywiście odlotowy start!

Ranek przeleciał nie wiadomo kiedy, bez jednego wezwania. Sharon trochę to rozczarowało. Wypełniała czas, sprawdzając w praktyce część wyuczonych na kursach umiejętności. Z radością przyjęła zaproszenie Mike'a Hendersona do pokoju kontrolnego.

- Trzeba bezwzględnie utrzymywać kontakt z bazą - tłumaczył, przechylając krzesło i opierając nogi na brzegu biurka. Miał chłopcęcą twarz i zaraźliwy uśmiech. - Możesz mnie słusznie uważać za źródło wszelkich informacji.

- Nie jesteś czasem zarozumiała? - zażartowała.

- Ja? Jestem zdruzgotany takim przypuszczeniem. - Zwiesił głowę w udawanej rozpacz. - Nie należysz chyba do kobiet bez serca, które gardzą mężczyznami?

- Zależy od mężczyzny - odparła, czym prędzej odsuwając z myśli Matthew. Im mniej będzie miała z nim do czynienia, tym lepiej, choć zapewne nie było to najlepsze podejście do pracy. - Dlaczego mam cię uznać za wyrocznie? Musisz mnie o tym przekonać.

- Trudno cię zbić z tropu - stwierdził Mike ze śmiechem. - Dobrze, skoro mi nie wierzysz, muszę chyba wyciągnąć moje atuty, a bardzo nie lubię się przechwalać. No więc, kiedy jesteś na wezwaniu, sprawdzam, czy trzymasz właściwy kurs, i ostrzegam przed ryzykiem, o którym twój pilot może nie mieć najmniejszego pojęcia.

- To znaczy? - zainteresowała się.

- O zmianie pogody, o nieprzewidzianych problemach z lądowaniem - objaśniał. - Na przykład w zeszłym tygodniu mieliśmy wezwanie do faceta. Okazało się, że kiedy doszło do wypadku, on i jego dwóch kumpli ścigali się samochodami. Mało tego, ci idioci mieli pasażerów. Musiałem uprzedzić Andy'ego, żeby nie lądował, dopóki nie dostanę szczegółów od policji, bo były w to zamieszane dwa gangi. Policja bała się, że mogą zaatakować helikopter.

- O Boże! Czemu ktoś miałby atakować helikopter? Nie zdawali sobie sprawy, że ich przyjaciel umrze, jeśli karetka nie przewiezie go do szpitala?

- Nie sądzę, żeby ich to w ogóle obchodziło - wyjaśnił. - A co, nie spotkałaś się z podobną sytuacją w Londynie?

- Masz rację. Kilka razy czułam te dreszcze - przyznała, po czym zaśmiała się ponuro. - Spodziewałam się, że tutaj tego uniknę.

- Nie da rady. Musisz wciąż być czujna. - Odezwał się alarm, Mike urwał i skoczył na równe nogi. - Akcja! Czas rozwijać skrzydła, dziecińco.

Sharon natychmiast wybiegła z kontrolki. Gdyby się tak nie spieszyła, sprawdziłaby, czy droga jest wolna, i nie wpadłaby prosto na Matthew.

- Ostrożnie!

Automatycznie wyciągnął rękę, choć zauważyła, że pozwolił jej najpierw odzyskać równowagę. I pomyślał pewnie, że zrobiła to naumyślnie! Zacisnęła usta, w jego obojętnych oczach zobaczyła odpowiedź. Nie wiedziała, czy ma

roześmiać mu się w nos, czy rozdrapać mu twarz, tak bardzo był śmieszny. W końcu zdecydowała się zlekceważyć ten incydent.

- Przepraszam, nie zauważyłam pana. Mamy wezwanie?

- Tak. Dziecko kontuzjowane podczas jazdy konnej. Prawdopodobnie uszkodzenie kręgosłupa. Trzeba je zaraz przewieźć do szpitala w Leeds - wyjaśniał, spoglądając do raportu, który trzymał w dłoni.

- Jak szybko tam dotrzemy? - spytała, idąc za nim korytarzem.

- Za jakieś piętnaście minut, przy dobrym wietrze.

Przez szklane okienko Sharon widziała jasnożółty helikopter przygotowany do startu, i na myśl o tym, że ta maszyna za moment ją uniesie w niebo, zaschło jej w gardle.

Matthew przystanął i obejrzał się. Widząc ją mocno przejętą zmiękł trochę, pokazując jej twarz daleką od oblicza wyniosłego profesjonalisty, którą znała dotąd.

- Wszystko będzie dobrze. - Zdjął kask z zaznaczonego jego nazwiskiem kołka i wręczył go jej. - Pacjent czeka.

Nabrała głęboko powietrza i gwałtownie je wypuściła, czując, jak ulatuje z nim jej niepokój. Wzięła kask i pchnęła drzwi. Kiedy ścisnął jej ramię, przechodząc, zdawało jej się, że powiedział: „Moja dzielna dziewczyna”. Ale mogła się przesłyszeć. Helikopter warczał ogłuszająco, a ona nie była jego dziewczyną. Tak czy siak, najważniejsze, że pomogło jej to ukoić nerwy.

Biegła w stronę maszyny, pochylając się, gdy znalazła się w zasięgu skrzydeł. Bert Davies siedział już w kabinie i pomógł jej wsiąść. Za nią wspiał się Matthew, który zamknął drzwi. Nie minęła sekunda, gdy byli już w powietrzu. Miasto uciekało spod ich stóp w zawrotnym tempie. Sharon uśmiechnęła się w nagłym zachwycie. Czowała się fantastycznie!

Odwróciła się do pozostałych, by sprawdzić, czy każdy lot jeszcze ich podnieca, i dojrzała oczy Matthew. Było w nich coś niespotykanego, coś jakby żal...

Skąd to spojrzenie? Czyżby Matt już ubolewał, że ją zatrudnił? To była najbardziej logiczna odpowiedź, jaka się nasuwała, choć zdecydowanie zbyt prosta i niepełna. Ogromnieją to zmartwiło. Nie znosiła pytań bez odpowiedzi.

- Widzisz coś?

Sharon pochyliła się, a Matthew postukał Andy'ego po ramieniu. Od piętnastu minut byli w powietrzu, zgadywała więc, że zbliżają się do celu. Dawno zostawili za sobą miasto i lecieli teraz nad polami. Na lewo od nich wyrastały góry Pennińskie, pasmo tworzące kręgosłup Wielkiej Brytanii.

Powietrze było przejrzyste, a widoki zapierały dech. Nie przybyli jednak, by podziwiać naturę, i Sharon, jak jej koledzy, pragnęła już odnaleźć ranną.

- Na razie nic, ale lada moment - odparł Andy głosem zniekształconym przez słuchawki wbudowane w jej kask. - O ile się nie mylę, są tam, jakieś dwie mile na dwunastą.

Załogi karetek posługiwały się prostym systemem lokalizacji. Przewodnikiem była tarcza zegara. Opisywali kierunki zgodnie z godzinową wskazówką, i tak na przykład dwie mile na dwunastą oznaczały, że powinni wylądować około dwóch mil dalej na wprost.

Po pięciu minutach byli u celu. Andy krążył przez chwilę, by mieć pewność, że może się zniżyć bez ryzyka uszkodzenia podwozia, i delikatnie posadził maszynę na polu. Matthew otworzył drzwi, zanim pilot zdążył wyłączyć silnik.

- Bert, nosze, a Sharon ze mną - rozkazał.

Sharon wyskoczyła i pobiegła za nim do grupy ludzi zebranych wokół szczupłej postaci leżącej na ziemi. Matthew przedstawił się szybko i przykląkł przy dziecku.

- Co się stało? - spytał, zaczynając badanie.

- Lucy spadła z kucyka. Nie wiem jak. Cyganek jest zawsze taki spokojny... - Kobieta, najwyraźniej matka dziecka, zaszlochala, a stojący obok mężczyzna, zapewne jej mąż, objął ją ramieniem.

- Jak upadła? Na plecy czy głową w dół? - dopytywał się Matthew, przesuwając ręką wzdłuż kręgosłupa małej.

Sharon wiedziała, że szuka widocznego uszkodzenia, i z ruchu głowy odgadła, że go nie znalazł. Zbadała puls dziecka, przyspieszony i słaby. Dziewczynka, około dziesięciu lat, była nieprzytomna, jej twarzyczka pod czarną czapeczką amazonki była kredowobiała. Sharon czym prędzej wbiła jej wenflon do żyły, wiedząc, że Matthew zechce jak najszybciej zbadać jej krew.

- Przeleciała kucykowi przez głowę i upadła na plecy. Nie ruszałam jej, bałam się - wyjaśniła zapłakana matka.

- To bardzo dobrze - rzekł Matthew, unosząc powieki dziewczynki, by zbadać źrenice. Lewa reagowała na światło, prawa pozostawała nieruchoma i rozszerzona. Świadczyło to jednoznacznie, że dziecko doznało urazu głowy. Sharon wiedziała, że trzeba reagować natychmiast.

- To nic groźnego, prawda? Trochę tylko się potłukła?

Matthew gestem nakazał Bertowi podać nosze, zanim odpowiedział ojcu małej. Sharon w tym czasie szykowała kroplówkę, wręczając butelkę z płynem infuzyjnym jednej ze stojących blisko osób, i pomagała drugiemu

pielęgniarzowi założyć dziecku kołnierz ortopedyczny. To były rutynowe czynności, nie wymagające instrukcji.

- Nie mogę nic pewnego w tej chwili powiedzieć - odparł Matthew, sprawdzając, czy dziewczynka nie ma uszkodzeń wewnętrznych. Ponownie pokręcił głową, a Sharon odetchnęła. - Córka państwa ma poważny uraz głowy i musimy ją szybko przetransportować do szpitala - ciągnął, patrząc, jak Bert rozkłada nosze. - Badanie palpacyjne niczego więcej nie wykazuje, ale trzeba zrobić prześwietlenie.

- To nie może być nic poważnego - upierał się ojciec. - Nieraz spadałem z konia i miałem tylko trochę siniaków.

- Obawiam się, że Lucy nie miała tyle szczęścia - stwierdził Matthew, odrobinę zniecierpliwiony.

Sharon nie wiedziała, czemu to przypisać, ale nie było czasu na pytania. Ojciec dziewczynki zamilkł. Pomyślała, że Matthew obszedł się z nim zbyt obcesowo. Rodzice w takim wypadku nigdy nie dopuszczają do siebie złych myśli.

We trójkę ostrożnie przenieśli drobne, słabe ciało Lucy na nosze. Bert przykrył ją pledem, a Sharon zabezpieczyła pasami i odebrała pojemnik z płynem dożylnym.

- Gotowe - zameldowała.

- Zabieramy ją prosto do Leeds. Przykro mi, ale nie mamy dla państwa miejsca.

Matka dziecka położyła dłoń na ramieniu Matthew w błagalnym geście.

- Proszę się nią dobrze opiekować, doktorze. To nasz skarb.

- Oczywiście. - Ścisnął rękę kobiety.

Kompletnie zdumiał Sharon paniką, jaka ściągnęła na moment jego twarz, zanim odwrócił się i wszedł na pokład maszyny. Zaraz potem był znowu sobą, rzucał polecenia, ale ta chwila wystarczyła, by dać jej do myślenia. Od lekarza oczekuje się troski o pacjenta, lecz było w tym coś więcej niż zawodowe zainteresowanie. Coś osobistego.

Nie zdążyła jednak dokończyć swych rozważań, bo maszyna poderwała się do lotu. Ruszyli gładko, Andy wykonał zgrabny łuk i skierowali się prosto na Leeds. Widziała jeszcze zbolące twarze rodziców dziewczynki i serdecznie im współczuła. Musiało im być niebywale przykro, że nie są razem z nią. Bez zastanowienia dała temu głośno wyraz.

- Gdyby mieli dość rozumu, żeby nie pozwalać biednemu dziecku jeździć konno, nic by się nie stało - warknął Matthew. - Bezmyślność rodziców, którzy narażają dziecko na takie ryzyko, jest wprost niewiarygodna.

- Przecież nie zawiniesz dziecka w paczkę waty - odparła zdziwiona. - Musisz mu pozwolić spróbować różnych rzeczy, nawet jeśli pociągają za sobą pewne ryzyko. Był już mocno poirytowany.

- Ciekawe, co na to rodzice tej małej, jeśli z tego nie wyjdzie? Codziennosc przynosi tyle niebezpieczeństw, że nie musimy sobie nic dokładać.

Otworzyła usta, by kontynuować spór, gdy poczuła, że Bert szturchają łokciem w żebra. Obejrzała się i zobaczyła, jak kręci głową. Wyraźnie ostrzegał ją przed powiedzeniem czegoś więcej. Ale dlaczego? Czy chodzi o kolejną niepodważalną opinię doktora Dempstera, że podwładni nie mają głosu? I to ma być praca zespołowa?

Milczała do końca podróży. Matthew przekazał dziewczynkę personelowi szpitala i po kilku minutach wracali do bazy. Bert i Andy gadali o tym i owym, ale ani ona, ani Matthew nie włączyli się do rozmowy. Sharon obawiała się zresztą, że zaraz wypaliłaby coś na temat autorytarnej władzy, wołała więc milczeć, on zaś nie próbował nawet ciągnąć jej za język.

Wylądowali parę minut po pierwszej. Matthew zamienił słowo z Andym i udał się prosto do budynku. Bert zaczął na Sharon. Uśmiechnęła się do niego smutno.

- Cieszę się, że chociaż ty ze mną rozmawiasz. Miałeś kiedyś uczucie, że źle wystartowałeś?

Bert zaśmiał się. Zauważyła, że trochę się speszył.

- Bzdura. Będzie ci tu dobrze, Sharon. Zachowałeś się dzisiaj profesjonalnie.

- Dzięki. - Z westchnieniem popatrzyła na oddalającego się Matthew. - Nie sądzę, żebyś to powtórzył w obecności naszego drogiego szefa. On wyzwała we mnie talent do gaf.

- Miałem nadzieję, że zorientujesz się i zmienisz temat.

- Dlaczego? Czy to przestępstwo mieć własne zdanie? - Aż się w niej zagotowało. - Już mnie uprzedził, że nie uznaje zażyłości w pracy. Lepiej od razu mi powiedz, jakich jeszcze reguł mam przestrzegać.

- Nic nie wiem o żadnych regułach - tłumaczył Bert. - Myślę, że Matt chce tylko uniknąć powtórki sytuacji, jaka nam się zdarzyła kilka miesięcy temu. Twoja poprzedniczka, Amanda, chodziła z pielęgniarem z zespołu B. Kiedy się rozstali, zrobiło się nie do wytrzymania. Mogłaś ciąć powietrze nożem, kiedy znaleźli się przypadkiem razem. W końcu Matt dał im ultimatum: albo

oddziela prywatne problemy od pracy, albo poszukają sobie innego zajęcia. Zaraz potem Amanda odeszła. I powiem ci, że odetchnęliśmy wszyscy, bo było z nią więcej kłopotów.

- Rozumiem - rzekła cicho Sharon. Wiedziała już przynajmniej, skąd wzięło się ostrzeżenie, jakie Matt do niej wystosował.

- Ale szturchnąłem cię dlatego - kontynuował Bert - bo zdałem sobie sprawę, że nie masz pojęcia o jego sytuacji.

- Jakiej sytuacji? - spytała machinalnie, nie wsłuchując się zbyt pilnie w słowa kolegi. Przeszkadzało jej, że Dempster porównuje ją z inną kobietą. Zbyt poważnie traktuje pracę, żeby wmieszać w nią prywatne sprawy. Usłyszała jednak końcówkę wypowiedzi Berta, która odepchnęła na bardzo daleki plan wszystkie jej rozważania.

- Powtórz to! - zawołała.

- Matt ma niepełnosprawną córkę, która została kaleką w wyniku wypadku - powiedział głośniej. - Jessica szła z matką ulicą, kiedy ciężarówka wjechała na chodnik. Dziewczynka przeżyła, ale porusza się na wózku inwalidzkim. A żona Mat-ta... cóż, nie dało się już nic zrobić. Najgorsze, że Matt miał akurat dyżur, kiedy przywieziono je do szpitala. Bóg jeden wie, co się z nim działo, strach nawet myśleć. Nie dziw się więc, że czasem jest ostry. Zapłacił potworną cenę.

Bert przesłał jej zrezygnowany uśmiech i ruszył do bazy. Andy rzucił jakieś słówko, przechodząc, ale Sharon nic nie słyszała. Miała przed oczami twarz Matthew, kiedy ujął dłoń matki Lucy.

Rozumiała teraz cierpienie w jego oczach; na pewno myślał wtedy o swojej córce. Wiedziała już, dlaczego tak gwałtownie sprzeciwiał się ryzyku w życiu dziecka. W obliczu tego wszystkiego jej opinie były bezduszne. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Jest mu winna przeprosiny.

Czym prędzej ruszyła do biura. Uniosła dłoń, by zapukać, i w ostatniej chwili przyszło jej na myśl, że może właśnie robi kolejny błąd. Może Matthew wcale nie ma ochoty wysłuchiwać jej wyrazów współczucia. I tak nie wynagrodzi mu to nieszczęścia.

Opuściła rękę. Tak, Matthew z pewnością ani trochę nie obchodziły jej przeprosiny.

ROZDZIAŁ DRUGI

Tego samego popołudnia otrzymali kolejne wezwanie. Trzeba było przewieźć wcześniaka do specjalistycznego oddziału dla noworodków w Merseyside. Matthew zwołał wszystkich dla ostatecznych ustaleń.

- Dziecko będzie transportowane w specjalnym, podgrzewanym i wentylowanym inkubatorze - wyjaśniał Sharon. - Helikopter ma na wyposażeniu zasilanie przeznaczone na taką ewentualność, choć inkubator posiada własny generator na baterie.

- Należy unikać niepotrzebnego ryzyka - odparła mimowolnie i poczuła, jak czerwienieją jej policzki, kiedy Matt obdarzył ją chłodnym uśmiechem.

- Święta racja. Dlatego tak dokładnie planujemy. Podniósł wzrok. Do pokoju wszedł Andy. Sharon odetchnęła, tym razem poszło jej w miarę gładko. Musi uważać na słowa, choć to wcale nie jest łatwe. Jeśli jednak dzięki temu uniknie nieumyślnego przypominania Mattowi o jego nieszczęściu, gra jest warta świeczki.

Ze zdumieniem odkrywała, jak bardzo jej na tym zależy, nawet jeśli on nie odpłacał jej podobnym zachowaniem.

- Rozmawiałem z kontrolą ruchu i obiecali wyczyścić dla nas drogę - poinformował Andy, rozwijając mapę i wskazując na zakreślone na czerwono miejsce. - Tu nie widzę problemu, najgorsze będzie odebranie dziecka. Szpital nie ma lądowiska i policja szuka dla nas czegoś w zamian.

- Aha. - Matthew spojrzał na Sharon. - Ciągłe mamy z tym kłopot. I nie dotyczy to tylko miejsc wypadków. W rejonie naszego działania jest mnóstwo szpitali bez lądowisk dla helikopterów.

- Jak będzie dzisiaj? - spytała. - Policja nam pomoże?

- Zapewne. Sprawdzają okolice - odparł. - Kiedy coś znajdą, karetka będzie musiała podjechać do nas z dzieckiem. - Wzruszył ramionami. - Takie rzeczy zajmują dodatkowy czas, ale to dla dobra całego przedsięwzięcia.

- A co nam grozi? - zapytała.

- Przede wszystkim trzeba wziąć pod uwagę napowietrzne linie wysokiego napięcia. Andy nie może lądować w miejscach, gdzie się znajdują. Odpowiednie podłoże musi być zabezpieczone przez policję przed niepożądanymi gapiami. To jedno z naszych największych nieszczęść: gromada ciekawskich, którzy pchają się pod nogi w najmniej właściwym momencie.

Zaśmiała się, słysząc oburzenie w jego głosie.

- Zdaje się, że już was to spotkało.

- I to ile razy! Helikopter wydaje się ludziom nadzwyczajną atrakcją.

- Nic dziwnego - stwierdziła. - Dla was to codzienność, ale nie dla tych, którzy widzą, jak ląduje na środku ich boiska! Ja też do nich należę!

Andy śmiał się głośno.

- Zauważyliście, że Sharon aż ugina się pod wrażeniem naszej wspaniałej pracy, czy tylko mi się wydaje?

- No bo jestem pod wrażeniem! Nic na to nie poradzę. A niby dlaczego się o nią starałam?

To miał być żart i wszyscy się roześmiali. Wszyscy oprócz Matta.

- Przekonasz się wkrótce, że nie ma w tym nic wspaniałego. Naszym zadaniem jest ratowanie życia, a że posługujemy się do tego helikopterem, to przypadek. Przykro mi to mówić, ale nie przetrwa u nas nikt, kogo skusiło romantyczne wyobrażenie.

Sharon paliły policzki, czuła się niezasłużenie skarcona.

- Wiem - rzuciła. - Żartowałam. Mam wystarczająco bogate doświadczenie w pracy z chorymi.

Zapadła krępująca cisza. Sharon pomyślała z obawą, że może przesadziła. Nie odwołałaby jednak ani słowa. Bert odchrząknął.

- Jesteś zawodowcem, Sharon. Pokazałaś nam to dzisiaj.

- Dzięki. - Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, ale złościło ją, że Matthew go nie poparł. Na szczęście, odezwał się telefon, Matthew sięgnął po słuchawkę i wymienił z rozmówcą kilka zwięzłych zdań.

- Policja znalazła dla nas lądowisko - poinformował, notując serię cyfr na kartce z notesu, którą wręczył Andy'emu. - To są współrzędne, gdybyś chciał pogadać z Mikiem.

Pilot wybiegł, a Matt odwrócił się.

- Bert, nie ma sensu, żebyś leciał. Dokończ raport z rannego wypadku, ja zabiorę Sharon.

Była zdziwiona, ale o nic nie pytała. Wiedziała, że byłby to błąd, a poza tym bardzo chciała lecieć. Bert wydawał się zresztą zadowolony z decyzji szefa.

Matthew wszedł pierwszy na pokład i pomógł jej wsiąść. Przypomniało jej się znenacka powiedzenie o zimnych dłoniach i gorącym sercu, ale uznała je w tej chwili za niewłaściwe.

Może i Matthew miał kiedyś gorące serce, ale śmierć żony musiała wszystko zmienić.

Przypięła się pasem i przyglądała po kryjomu, jak Matthew, pochylony, rozmawia z Andym. Trudno było nawet wyobrazić sobie, jaki był przed tamtym tragicznym wypadkiem. Zna go za krótko, by zgadywać. Podejrzewała jednak w duchu, że dystans i chłód, jakie okazywał światu, stanowiły tylko maskę, pod którą ukrywał prawdziwe uczucia.

- Będziemy tam za jakieś dwadzieścia minut.

Drgnęła, słysząc zniechęca przez słuchawki jego głos, i podniosła na niego wzrok.

- Aha... A gdzie policja każe nam lądować?

- Na boisku na przedmieściu. Zdaje się, że trwa tam teraz mecz ligi szkolnej, ale obiecali, że skończy się, zanim przylecimy. - Kompletnie zaskoczył ją uśmiechem. - Wygląda na to, że będziemy mieć sporą widownię, Sharon. Przygotuj się na swoje pięć minut sławy!

Roześmiała się z zadowoleniem, zastanawiając się, czemu jej serce podskakuje jak głupie, gdy tylko Matt uważa za stosowne być dla niej trochę bardziej miłym.

- Nie mogę się doczekać - odparła. - Żałuję tylko, że nie jestem ubrana jak należy.

Andy parsknął śmiechem.

- Może powinniśmy złożyć zamówienie na kombinezony ze złotej lamy, Matt? To wstyd rozczarować fanów.

Matthew śmiał się serdecznie.

- Wyobrażam sobie, jak byśmy wyglądali! - Przyjrzał się Sharon, a jej krew omal się nie zagotowała. - Sharon i tak nas przyćmi, próżne nasze wysiłki. Nikt na nas nie spojrzy.

Pojęcia nie miała, co powiedzieć, na szczęście on nie oczekiwał riposty. Nie potrafiła wszakże zapomnieć tych słów. Zachowa je w jednym z zakątków pamięci, by wrócić do nich, gdy zajdzie taka potrzeba.

Westchnęła. Ależ stała się patetyczna, robi z igły widły! Matt żartuje sobie z niej. Kilka miłych słówek to jeszcze nie uczucie!

Wylądowali po dwudziestu minutach, tak jak przewidywali. Sharon już z daleka dojrzała tłum zebrany wokół boiska i zrozumiała, czemu Matt chciał mieć w pobliżu policjantów, którzy w razie konieczności zajęliby się zbyt entuzjastycznymi widzami.

Otworzył drzwi i wyskoczył. Karetka już się do nich zbliżała. Sharon także wysiadła, zdejmując kask i zgarniając do tyłu włosy. Zazwyczaj związywała je w pracy, w czasie kursu doszła jednak do wniosku, że w kasku jej tak

niewygodnie. Poradzono jej także, by unikała wsuwek i klamerek, bo mogą okazać się niebezpieczne w razie przymusowego lądowania. Niewinnie wyglądająca klamerka może nawet poważnie zranić, wbijając się w głowę.

Kątem oka Sharon spostrzegła światło lampy błyskowej, a kiedy się rozejrzała, zobaczyła fotografa z obiektywem wycelowanym w ich stronę. Mężczyzna, zauważywszy jej wzrok, ruszył ku niej biegiem, o mały włos nie tratując policjanta, który usiłował go powstrzymać.

- Geoff Goodison z „Weekly News”. Jak długo pracuje pani w helikopterze ratunkowym?

- Od dzisiaj - rzuciła, skupiona na podjeżdżającej karetce. Zrobiła krok i poczuła na ramieniu rękę reportera.

- Może mi pani podać swoje nazwisko? Nasi czytelnicy uwielbiają takie historyjki - domagał się.

- Sharon Lennard. - Uśmiechnęła się przepraszająco. - Muszę iść.

Puścił ją, usuwając się na życzenie policjanta. Sharon pobiegła do zatrzymującego się samochodu. Matt właśnie jej szukał wzrokiem. Dostrzegła nieprzyjemny wyraz jego twarzy.

- Spróbuj się skoncentrować na pracy, jeśli to możliwe. Dam ci znać, kiedy zechcemy się reklamować, ale w tej chwili mamy tu ciężko chore dziecko.

Oszołomiona reprimendą, nie próbowała się bronić. Mówił tak, jakby to ona chciała zwrócić na siebie uwagę dziennikarza, a było przecież odwrotnie. Zacisnęła wargi, bo nie był to czas ani miejsce na dyskusję. Zostawi to na później, na pewno nie puści tego płazem. On nie może jej bezustannie oskarżać.

Załoga karetki ostrożnie wyładowała inkubator i przeniosła go do helikoptera. Był z nimi ojciec maleńkiej dziewczynki, który odciągnął Sharon na bok.

- Proszę mi obiecać, że pani się nią zaopiekuje. - Jego oczy zaszły łzami. - Lekarze nie są pewni, czy matka przeżyje. Nie mógłbym jeszcze stracić małej.

Sharon poklepała go po ramieniu, czując, że i ona zaczęła nagle widzieć jak przez mgłę.

- Obiecuję.

- Dzięki. - Rozciągnął usta w smutnym uśmiechu, patrząc na inkubator. - Ma na imię Chloe... Chloe Richardson. Całe wieki zastanawialiśmy się, jak ją nazwać.

- Bardzo piękne imię - rzekła cicho Sharon. Matt dawał jej właśnie znak. - Musimy lecieć. Proszę się za bardzo nie martwić. Zajmiemy się Chloe.

Inkubator przymocowano do kadłuba metalowymi klamrami, by w czasie lotu pozostał nieruchomy. Sharon przypięła się pasem i sprawdziła stan dziecka za pomocą urządzeń monitorujących, w które był wyposażony inkubator. Doświadczonym okiem przyglądała się wydrukowi i z ulgą stwierdziła, że kondycja maleństwa nie pogarsza się.

- Jak z nią? - spytał Matt.

- Trzyma się - odparła Sharon, pokazując wyniki. Przebiegł palcem wzdłuż cyfr i z westchnieniem popatrzył na dziecko.

- Nie do wiary, że coś tak małego może przeżyć, a osiągają przecież wspaniałe rezultaty z wcześniakami, które ważą jeszcze mniej niż ona.

- Myślisz, że przeżyje? - zapytała, nieświadoma, że w jej głos wkradła się jakaś tęskna nuta. Zajrzała do szpitalnych notatek. - Problemy z układem oddechowym, żółtaczką, hipoglikemia... Sporo, jak na taką drobinę.

- Dzieci są zadziwiająco silne. Niektóre wychodzą z najtrudniejszych opresji - zauważył. - Fakt, że jeszcze żyje, to dobry prognostyk. Musimy myśleć pozytywnie, za moment znajdzie się w rękach specjalistów.

Uśmiechnął się, odpowiedziała mu tym samym, uspokojona trochę jego słowami.

Bez przeszkód dolecieli do Merseyside. Andy całą drogę utrzymywał kontakt z kontrolerami ruchu z lotnisk w Manchesterze i w Liverpoolu, którzy pilnowali, by nikt nie wszedł im w drogę. Sharon zastanawiała się, czy spowodowało to jakieś opóźnienia w ruchu lotniczym.

- Lecimy dużo niżej niż pasażerskie linie - wyjaśnił jej Andy - nie ma więc takich problemów. Całe szczęście, bo mielibyśmy dzisiaj dużo więcej nieszczęśliwych ludzi.

- Zwykli pasażerowie na pewno by zrozumieli - zaprotestowała - gdyby wiedzieli, że chodzi o chore dziecko.

Matt zaśmiał się krótko.

- Ludzie są tak zajęci sobą, że nie mają nawet czasu pomyśleć o innych.

- Nie zgadzam się - zaoponowała. - To prawda, zawsze znajdzie się ktoś, kto nie widzi dalej własnego nosa, ale większość jest inna.

- Wzruszająca jest twoja wiara w rodzaj ludzki, Sharon. Mam nadzieję, że nie zapłacisz za nią zbyt boleśnie. Możesz mi wierzyć, że większość ludzi ma innych w głębokim poważaniu, chyba że mają w tym jakiś interes.

Zatrzęsła się na dźwięk jego głosu. Skąd u niego taka czarna wizja świata? Czy to wszystko ma związek z utratą żony? Było to jedyne rozumne wyjaśnienie, i ponownie ogarnęła ją fala współczucia. Jak trudno musi być

wrócić do życia po takim ciosie! Zrobiłaby wszystko, gdyby tylko dało się to jakoś naprawić. Czuła wszakże, że Matt odrzuci każdą formę pomocy z jej strony.

Za mało ją zna, by dzielić z nią swoje troski. I nie zamierza wcale pogłębiać ich znajomości. Umieścił ją w przegródce z napisem: „Koledzy”. Nie podobało jej się to. I nie dawało jej to spokoju.

- Kto chce drinka?

Do końca zmiany pozostało pięć minut, kiedy do pokoju służbowego wkroczył Mike.

- To pierwszy dzień Sharon, nie przepuścimy takiej okazji. Wypijmy za jej zdobyte właśnie skrzydła.

- Świetnie! - zgodził się Andy. - Choć, szczerze mówiąc, zachowywała się tak profesjonalnie, że zapomniałem, że to jej chrzest bojowy.

Sharon to rozbawiło.

- Och, takimi pochlebstwami wszystko pan zdobędzie, proszę pana! Nawet drinka!

- Hola, pamiętajcie, że to mój pomysł - wtrącił Mike. - Jeśli są jakieś drinki na zbyciu, nie chciałbym, żeby mnie ominęły.

- Nie wyobrażam sobie, żeby mógł pan cokolwiek przegapić, panie Henderson - odparowała, rozśmieszając towarzystwo. - W każdym razie z przyjemnością zapraszam wszystkich.

- To rozumiem! Wiedziałem, że warto cię mieć w zespole.

- Mike uściskał ją serdecznie i spojrzął na otwierające się drzwi.

- Hej, Matt, w samą porę. Sharon stawia wszystkim z okazji pierwszego dnia pracy!

Sharon na widok Matta natychmiast się zaczerwieniła. Wyobraziła sobie, jak wyglądała w ramionach Mike'a, i od razu przypomniała jej się ostrzegawcza opowieść Berta.

Odskokzyła, ale przez twarz Matta i tak przemknęło zniecierpliwienie, zanim przybrał swą zwykłą maskę.

- Dziękuję, spieszę się do domu - powiedział oschle. - Pomyślałem, że zainteresuje was, iż to maleństwo z inkubatora odzyskało przytomność. Ma niewielką opuchliznę w mózgu, ale lekarze są przekonani, że nie ma trwałego uszkodzenia.

- Cudownie! - zawołała Sharon. Dobre wieści przesłoniły jej zakłopotanie. - Jaka to ulga dla rodziców.

- Przeogromna.

Nie dodał nic więcej. Nie wiedziała, co kazało jej wyjść za nim, ale nagle znalazła się na korytarzu. Zatrzymał się i obrócił, unosząc pytająco brwi.

- Tak?

Nie musiał chyba odzywać się tak obcesowo. Wyprostowała się, jego wrogość ją bolała.

- Właściwie co masz przeciwko mnie, Matt? Zanim stwierdzisz, że traktujesz mnie jak pozostałych członków załogi, powiem ci, że z mojego punktu widzenia wygląda to zupełnie inaczej.

- No to mogę tylko przeprosić - odezwał się obojętnie. - Jeśli odniosłaś takie wrażenie, to oczywiście mój błąd.

Tak ją to zaskoczyło, że zaczęła czym prędzej szukać dla niego usprawiedliwienia.

- Rozumiem, że nie jest łatwo, jak przychodzi ktoś nowy.

- Tak, ale nie o to chodzi - odparł. - Bez wątplenia nie bardzo się dzisiaj spisałem, i masz stuprocentową rację, że zwracasz mi na to uwagę. Ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzył, to jakieś nieporozumienia w zespole. Mogę więc tylko powtórzyć moje przeprosiny i zapewnić cię, że postaram się bardziej uważać.

Skłonił lekko głowę i zamknął się w swoim pokoju. Sharon stała nieruchomo, zastanawiając się, czemu czuje się nieusatisfakcjonowana. Matt niewątpliwie mówił szczerze, co więc znów jej dokuczają?

Z westchnieniem doszła do wniosku, że chodzi jej o ten przejmujący chłód. Widziała już, że może być inaczej, i bardzo za tym tęskniła.

- No i co tu robisz? Tylko nie mów, że chciałaś się wymigać i uciec?

Na widok Mike'a Sharon porzuciła introspekcję.

- Tak o mnie myślisz? - spytała, udając zagniewanie, i pobiegła po torebkę. - Zawsze dotrzymuję słowa.

- Dobrze wiedzieć. - Andy mrugnął na pozostałych. - Chociaż musisz być nienormalną kobietą, jeżeli to prawda.

Roześmiała się. Nie potrafiła się na niego obrazić.

- Chyba zadajesz się z niewłaściwymi kobietami.

- Pewnie tak! - odparł pilot, wznosząc oczy do nieba. - Rozmawiasz z facetem, który właśnie przebrnął przez trzeci rozwód.

- I szuka czwartej ofiary - włączył się Mike. Objął Sharon i pociągnął do wyjścia. - Radzę ci trzymać się z daleka od naszego czarującego kapitana. Trzymaj z tym, kto chodzi twardo po ziemi.

Uśmiechnęła się, uwalniając się z uścisku.

- Dziękuję, wujaszku, jestem już dużą dziewczynką i sama decyduję o swoim życiu prywatnym.

- Każdy tak mówi, ale nie da się złączyć starej głowy z młodym ciałem - odparł drżącym głosem staruszka.

Tym razem wszyscy się roześmiali i ruszyli na dwór. W sąsiedztwie znajdował się pub. Zajęli miejsca przy barze, prowadzili niezobowiązującą rozmowę. Sharon dobrze się bawiła, miała okazję lepiej ich wszystkich poznać. Kiedy wracała do domu, wciąż brzmiało jej w uszach jej własne zdanie, że w miłości nie potrzebuje doradców.

Może to i prawda, ale prawdą było także to, że od ponad roku była sama. W Londynie spotykała się z jednym z lekarzy ze szpitala, w którym pracowała. Związek ten nie przetrwał próby czasu i wygasł, kiedy wyjechała do ojca.

Tamten lekarz nazywał się Steve Black. Była do niego bardzo przywiązana i zdawało się jej, że jest to odwzajemnione uczucie, a zatem rozstanie sprawiło jej ból. Niestety, Steve niecierpliwił się coraz bardziej z każdym dniem jej nieobecności w Londynie, a jego jedyna wizyta u niej okazała się klęską. Oczekiwał, że wszystko mu poświęci, i nie potrafił zaakceptować faktu, że nie mogła zostawić ojca samego.

Na szczęście szybko się z tego otrząsnęła, lecz była zbyt zajęta, by myśleć o przyjemnościach. Przyjdzie na to czas. Teraz ma nową pracę, na której musi się skupić, i grupę sympatycznych kolegów. Nigdy chyba nie widziała przyszłości bardziej różowo.

ROZDZIAŁ TRZECI

Pod koniec pierwszego tygodnia Sharon była już pewna, że dobrze zrobiła, wybierając tę pracę. Bardzo ją polubiła, podobnie jak ludzi, którzy ją tam otaczali. Matt dotrzymał słowa i zdawało się, że skończyły się ich potyczki, chociaż wciąż oczekiwała od niego więcej życzliwości. Pogoda dopisywała, gdy tylko więc skończyła porządki w bungalowie, do którego sprowadzili się z ojcem po jego wylewie, postanowiła wyrwać się do miasta. Szczęśliwe zakończenie pierwszego tygodnia w nowej pracy zasługiwało na uczczenie zakupami.

Przebrała się w jasne lniane spodnie i oliwkową jedwabną koszulę i wyruszyła w miasto. Jak zwykle w sobotę, która była dniem targowym, ulicami przelewał się tłum, ale jej wcale to nie przeszkadzało. Kiedy siedziała z ojcem, każde wyjście po zakupy kończyło się nerwową gonitwą i biegiem do domu. Tego dnia miała czasu do woli i wykorzystała to, wałęsając się między stoiskami. Zauważyła przy tym, że zwraca uwagę przechodniów. Dopiero gdy zatrzymała się przy kiosku z ceramiką, by kupić małą porcelanową wazę, odkryła, czemu to zawdzięcza.

- To pani jest Sharon Lennard, prawda? - spytała sprzedawczynie, zręcznie zawijając wazę w gazetę. - Pracuje pani w helikopterze ratunkowym.

Sharon była zdumiona.

- Skąd pani wie?

- Och, kochana, widziałam pani zdjęcie. - Kobieta sięgnęła pod ladę i wyciągnęła gazetę. - Ładne.

Sharon straciła oddech z wrażenia. Na pierwszej stronie lokalnego piśmiidła widniała jej podobizna. Zrobiono ją tego dnia, kiedy przewozili niemowlę, i całkiem już o tym zapomniała. Zdjęcie rzeczywiście było niezłe, ale towarzyszący mu podpis: „Nowy Anioł zdobywa skrzydła”, był niewybredny. Wyobraziła sobie, jak będą z niej kpić koledzy, gdy to zobaczą.

- Dziękuję. Jeszcze nie miałam tego w ręku - tłumaczyła, oddając gazetę. Chciała zapłacić za wazę, ale sprzedawczynie potrząsnęła głową.

- To prezent, kochana. Mój chłopak miał wypadek rok temu i to wam zawdzięcza życie. Lekarze w szpitalu mówili, że gdyby nie ta latająca karetka, już by go nie było. Jesteście warci więcej niż złoto.

- Dziękuję. To bardzo miło z pani strony. - Sharon wzruszyła się gestem obcej kobiety.

Pożegnała się i ruszyła po dalsze zakupy, ciesząc się, że należy do instytucji, która tak zmienia ludzkie życie.

Nagle coś wpadło na nią od tyłu i waza poleciała na ziemię, rozbijając się w drobny mak o kocie łby. Sharon odwróciła się, by dać wyraz swojemu oburzeniu, i ze zdumieniem ujrzała, że sprawczynią wypadku jest dziewczynka na wózku inwalidzkim.

- Przepraszam. Nie chciałam. - Warga dziecka drżała na widok potłuczonego naczynia. - Nie wiedziałam, że tu jest spadek, i nie zdążyłam zahamować.

- Nic nie szkodzi - zapewniła Sharon. - Nie płacz. - Rozejrzała się po zatłoczonej ulicy. - Jesteś sama?

- Tatuś jest w tamtym sklepie. - Dziewczynka, wyglądająca na jakieś osiem lat, wskazała na sklep rzeźnika. - Nie mógł mnie tam wwieźć po schodkach i musiałam zostać.

- Aha. - Sharon zmarszczyła brwi, widząc strome schody do sklepu.

Jak większość sprawnych ludzi, nie myślała o trudnościach, z jakimi spotykają się co i rusz niepełnosprawni. Uderzyło ją teraz, jaki to wielki problem, zwłaszcza dla rodziców takich dzieci. Pewnie bez przerwy natykają się na jakieś schody, przed którymi muszą je zostawiać.

Ledwie zdążyła to pomyśleć, kiedy ze sklepu wybiegł mężczyzna, nerwowo rozglądając się na wszystkie strony. Tchu jej zabrakło, kiedy uświadomiła sobie, że to Matt. Dostrzegł je, zanim zdołała jakoś sobie z tym poradzić, i podbiegł pospiesznie.

- Co ty wyprawiasz? - krzyknął na nią. - Jak możesz zabierać dziecko?

Była kompletnie nieprzygotowana na taki atak, toteż patrzyła na niego ogłupiała. Zamruczał obraźliwie, kiedy pominęła jego słowa milczeniem, i przyklęknął przy wózku.

- Nic ci nie jest, kochanie?

- Nic, tatusiu. - Warga dziewczynki znowu zaczęła drżeć. - Nie gniewaj się na tę panią. Chciałam popatrzeć na króliki, ale nie mogłam się zatrzymać. Uderzyłam w panią i stłukłam jej wazon!

Łzy popłynęły po jej policzkach. Matt przytulił ją:

- Mówiłem ci, że zawiozę cię później do królików. Bardzo nierozsądnie postąpiłaś, Jessie. Obiecuj mi, że to się nie powtórzy. Nie wolno ci się samej oddalać.

Podniósł się, a dziewczynka pokiwała głową.

- Należą ci się przeprosiny, Sharon - odezwał się. - Nie chciałem tak zmywać ci głowy, ale kiedy zobaczyłem przez okno, że Jessica zniknęła, zamarłem ze strachu.

Mówił prawdę, oczywiście. Nie namyślając się długo, położyła mu dłoń na ramieniu.

- W porządku, Matt. Rozumiem. Na twoim miejscu zachowałabym się pewnie tak samo.

- Nie, powinienem był najpierw spytać, co się stało. - Uśmiechnął się ze smutkiem i schylił, by pozbierać kawałki potłuczonego wazonu, skutecznie pozbywając się jej ręki z ramienia. - Wybacz. Z przyjemnością zwrócę ci koszty.

Gdy wyjął portfel z kieszeni, potrząsnęła głową. Była urażona jego odrzuceniem i choć wiedziała, że to głupie, nic nie mogła na to poradzić.

- Nieważne - zapewniła go lekko napiętym głosem. - To nie był duży wydatek, a poza tym sprzedawczyni nie przyjęła zapłaty.

Uniósł brwi.

- Czemu?

Lepiej zrobi milcząc, pomyślała. Może i jest przewrażliwiona, ale nie chciała dać mu kolejnej okazji do ataku.

- Cóż, nie wiem, może chciała być miła. Nie będę was dłużej zatrzymywać.

Pochyliła się i uśmiechnęła do dziewczynki, która zupełnie nie przypominała ojca. Jessica była jasną blondynką o niebieskich oczach. Sharon stwierdziła, że to pewnie po matce, i zastanowiła się, czy robi to Mattowi jakąś różnicę.

Czy fakt, że każde spojrzenie na córkę przywołuje w jego pamięci żonę, sprawia mu ból, czy jest pocieszeniem? Nie umiała odpowiedzieć i nie sądziła, by oczekiwał od niej tak osobistego pytania.

- Bardzo się cieszę, że cię poznałam, Jessico. Postaraj się tylko nie straszyć już taty w ten sposób. Nie chcesz przecież, żeby ci nagle posiwiął, prawda?

Jessica zachichotała.

- Tatuś ciągle mówi, że przeze mnie posiwieje, ale jeszcze nic nie widać. - Spojrzała do góry, a Sharon roześmiała się. - O, chyba widzę jakiś siwy włos.

- Nic dziwnego, skoro młoda dama wykonuje takie akrobacje! Twarz Matta przeciął szeroki uśmiech. Tak bardzo go to zmieniło, że Sharon wstrzymała oddech. Z uśmiechem wyglądał całkiem inaczej, dużo przyjaźniej. Tak właśnie musiał wyglądać, zanim jego życie dotknęła tragedia.

- Tatusiu, możemy już popatrzeć na króliki? - odezwała się Jessica. - Proszę.

- Najpierw dokończymy zakupy, kotku. - Nagle jęknął. - A niech to! Zostawiłem mięso na ladzie. Masz czasem uczucie, że robisz dwa kroki do przodu i jeden do tyłu?

Sharon rozbawiła ponura nuta w jego głosie.

- I to często! - Spojrzała w stronę sklepu mięsnego i prowadzących doń schodków i poczuła, że nie może teraz odejść. - Słuchaj, to może idź tam, a ja pojedę z Jessica do królików? Zresztą, może w ogóle skończ spokojnie zakupy.

- Nie, raczej nie - zaczął, ale Jessica przerwała mu, klaszcząc w dłonie z radości.

- Tak! Zgódź się, tatusiu! Niech Sharon mnie zabierze! Matt spojrzał na proszącą twarz dziecka.

- Sharon na pewno jest zajęta, Jess. To nieładnie zawracać jej głowę.

- Nie ma sprawy - wtrąciła Sharon, widząc, że dziewczynka jest bliska płaczu. - Obiecuję, że będę się nią dobrze opiekować.

Wahał się przez moment.

- No dobrze, jeżeli jesteś pewna. Taki dzisiaj tłok, że naprawdę trudno prowadzić wózek. - Wskazał na klatki z małymi zwierzętami. - To właśnie tam. Spotkajmy się tam za...? Powiedzmy kwadrans?

Sharon przytaknęła, chwytając ręczki wózka. Nie musiała się oglądać, by mieć pewność, że Matt bacznie je obserwuje. Potrafiła powiedzieć, kiedy się odwrócił. Odetchnęła wówczas nie tyle rozluźniona, co zdezorientowana. Jak to się stało, że jego wzrok stał się dla niej dotykalny?

Wysięk, jakiego wymagało prowadzenie wózka po kocich łbach, zmuszał do całkowitej koncentracji. Jessica chichotała, chwytając mocno za oparcie, gdy trafiała im się wyjątkowo wystająca kostka brukowa.

- Ale fajnie! Tatuś nigdy tak nie robi.

Sharon zaczęła jechać ostrożniej, omijając najgorsze koleiny, i kiedy dotarły do celu, była mokrzuteńka. Jessica przeciwnie, wyglądała, jakby świetnie się bawiła. Wpatrywała się potem w króliki jak zaczarowana. Zbliżyła twarz do metalowej klatki. Sharon przykucnęła przy niej, rozbawiona przez małego rudzielca, który próbował wystawić przez kratę swój różowy nos.

- Chyba cię lubi, Jessico. Śliczny, prawda?

- Przepiękny - szepnęła dziewczynka. Włożyła palec między kratki, śmiejąc się, kiedy zwierzątko zabrało się do ssania.

- Uważaj, żeby cię nie ugryzł - ostrzegł właściciel. - Może sobie pomyśleć, że twój paluszek jest jakimś smakołykiem. Poczekaj, wyciągnę go, to go potrzywasz.

Wyjął królika z klatki i posadził na kolanach Jessiki. Na widok szczęścia na twarzy dziewczynki, kiedy głaskała jedwabistą sierść, Sharon ścisnęło się gardło.

- Zobacz, jakie ma miękkie futerko - szepnęła Jess. Sharon delikatnie dotknęła zwierzątka, które poruszyło wąsami, obwąchując jej dłoń.

- Sprawdza, czy mnie lubi. Oj, chyba jednak woli ciebie. Jessica roześmiała się, bo królik akurat odwrócił się tyłem

do Sharon. Tulila go w ramionach.

- Bo wie, że go kocham. Myślisz, że tatuś mi go kupi?

- Musisz go poprosić. Może stwierdzi, że nie będzie miał czasu opiekować się królikiem. Nie miej do niego żalu, jeśli się nie zgodzi - przestrzegła Sharon, nie chcąc wzbudzać w dziecku zbyt wielkich nadziei.

- Sama mogę się nim opiekować! Mam z biblioteki książkę o królikach i tam jest napisane, jak się je karmi. Potrzebna mi tylko klatka i trochę sianka i...

- Hm, ktoś tu spiskuje za moimi plecami...

Sharon uniosła głowę. Matt patrzył na nie z lekkim uśmiechem. Zapragnęła, by częściej tak się jej przyglądał. Na takim uśmiechu zbudowałyby całą przyszłość.

Podniosła się wszakże prędko, zawstydzona. Nie zna tego mężczyzny i buduje zamki na lodzie, skarciła się w duchu.

- Jessica chyba zakochała się w tym małym - wyjaśniła.

- Zdziwiasz mnie. - Spojrzał na córkę, a smutek w jego oczach wzruszył Sharon. - Jest taka podobna do matki. Claire też miała bzika na punkcie zwierząt.

Sharon była skonsternowana. Z jednej strony chciała dowiedzieć się możliwie najwięcej o jego żonie, z drugiej, zbyt wiele ją to kosztowało. Chyba zdała sobie sprawę, że Matt może nigdy nie przeboleć tej śmierci.

Zauważył jej zmieszanie.

- Co się stało?

- Ja... właśnie sobie przypomniałam, że się z kimś umówiłam - skłamała, wymyślając pierwszą lepszą wymówkę, jaka przyszła jej do głowy.

- A my cię zatrzymujemy. Nie wiedziałem. Dziękuję za opiekę nad Jessica. Jestem ci bardzo zobowiązany.

Jego głos stał się znów daleki i obojętny. Chciała wszystko odwołać, ale wymagałoby to przyznania się do kłamstwa, a tego nie mogła zrobić. Nie mogła przecież przyznać, że jego nieustająca miłość do żony jest dla niej ciężarem, sama jeszcze tego nie rozumiała.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła więc i zwróciła się do dziewczynki: - Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

- Ja też. Może zaprosimy kiedyś Sharon na herbatę, tato?

- Sharon na pewno ma mnóstwo zajęć, kochanie - odparł niejednoznacznie.

Sharon wiedziała wszakże, że Matt nie ma ochoty jej zapraszać. To było przypadkowe spotkanie, przedłużone tylko z konieczności. Wysiliła się na uśmiech, by nie poznał, że jest jej przykro.

- No to idę. Pewnie spotkamy się tu za tydzień.

- Tak, jeszcze raz dziękuję - rzekł uprzejmie.

Sharon zdobyła się na kolejny uśmiech, ale czuła ciężar w piersiach, kiedy przebijała się przez tłum na placu targowym. Matt dał jej jasno do zrozumienia, że pragnie zachować dystans. Nie wiedziała tylko, czemu jej z tym tak źle. Był przecież jednym z jej kolegów, nie powinna więc skarżyć się na to, że z premedytacją zamyka przed nią drzwi do swojej prywatności.

- Mężczyzna z silnymi bólami w klatce piersiowej, możliwy zawał. Upadł w pobliżu czternastego dołka na polu golfowym w Daleside Club. Szybko tam będziemy, Andy?

Pilot sprawdzał, Sharon czekała na odpowiedź. Wracali akurat do bazy po odtransportowaniu rannego motocyklisty, kiedy dotarło do nich kolejne wezwanie. Motocyklista zmarł w drodze do szpitala, choć dotarli doń po dziesięciu minutach, byli więc trochę przybici. Tym razem mogli mieć więcej szczęścia, ale nigdy nie było gwarancji. Charakter ich pracy zakładał, że mają do czynienia z najgroźniejszymi przypadkami, i zazwyczaj towarzyszyło im mnóstwo przeciwności.

- Około dziesięć minut - oszacował Andy.

- Dobra, powiem Mike'owi.

Matt przekazał informację i usadowił się na swoim miejscu, pilot skierował maszynę na nowy tor. Był piękny słoneczny poranek. Kiedy zmieniali kurs, promienie słońca zajrzały do środka przez przyciemnioną szybę. Sharon szukała w kieszeniach okularów przeciwsłonecznych i z przykrością stwierdziła, że w pośpiechu zostawiła je w szafce.

- Weź moje - odezwał się Matt. - Nie świeci mi tu w oczy, a tobie się przydadzą.

Obdarzył ją jednym ze swoich rzadkich uśmiechów, a ona z ulgą ukryła się za ciemnymi szklami. Od spotkania na targu nie mogła przestać o nim myśleć.

- Aha, wiesz, w końcu kupiłem Jess tego królika - dodał ni stąd, ni zowąd.

Poczuła ciarki na plecach ze strachu, że podłączył się do jej myśli. Spojrzała na niego badawczo, ale nic na to nie wskazywało.

- Spodziewałam się tego - odparła.

Nie życzyła sobie, by ktokolwiek czytał teraz w jej myślach, a już na pewno nie Matt.

- Od dawna męczyła mnie o psa, ale to absolutnie niemożliwe, więc królik okazał się dobrym kompromisem - wyjaśnił, po czym nagle roześmiał się. - Nie wiem, czy ci to pochlebi, ale Jess nazwała go Sharon. Uważa, że to świetne imię, chociaż to samczyk.

Sharon nie wytrzymała i też wybuchnęła śmiechem.

- Oby biedny zwierzak nie nabawił się kompleksów.

- Królik transseksualista? - zażartował Andy. - To się nadaje do gazety, Sharon. Ciekawe, jak by zatytułowali artykuł o tym, że na twoją cześć nazwano królika twoim imieniem?

Oczywiście, była to aluzja do tamtego nieszczęsnego artykułu. Zamarła, bo nikt dotąd o tym nie wspomniał. Ale nie mieli też okazji. Skoro jednak Andy widział zdjęcie, informacja szybko się rozejdzie. Obawiała się reakcji Matta. Pamiętała jeszcze jego uwagi po spotkaniu z fotografem, teraz zatem nie spodziewała się niczego dobrego.

- Kto wie? - powiedziała i szybko zmieniła temat: - Daleko jeszcze?

- Jakies pięć minut. Mam nadzieję, że ktoś pomyślał, żeby zaznaczyć w widoczny sposób to miejsce. Czternasty dołek to nie jest bardzo precyzyjna wskazówka - mruknął ponuro Andy.

Zadowolona, że udało się porzucić niewygodną kwestię, Sharon dostrzegła zaniepokojone spojrzenie Matta. W sukurs przyszło jej pole golfowe, które pojawiło się właśnie pod nimi, i konieczność znalezienia lądowiska.

Chory był w kiepskim stanie. Ogromnie cierpiał. Matt natychmiast zaordynował silny analgetyk. Sharon przygotowała sprzęt, by na bieżąco widzieli, co dzieje się z pacjentem, który po środku przeciwbólowym otrzymał leki przeciwskrzepowe. Było jasne, że im szybciej zacznie się akcja ratunkowa, tym większe szanse mężczyzny na przeżycie. Z wyrazu twarzy Mat-ta Sharon wyczytała, że nie będzie to wcale takie łatwe.

- Załóżcie mu maskę tlenową i lećmy prosto na OIOM - instruował zwięźle, czekając na wypełnienie poleceń.

- Będzie dobrze? Muszę zadzwonić do jego żony... Kolega golfiarza nie był zachwycony tą perspektywą. Matt

wziął go na stronę, a Sharon i Bert załadowali nosze. Sharon domyślała się, że Matt nie ma najlepszych wiadomości. To był jeden z najtrudniejszych aspektów ich pracy. Mieli obowiązek mówić prawdę, ale jak wytłumaczyć komuś, że ma być przygotowany na najgorsze?

Po chwili byli już w drodze do szpitala. Sharon monitorowała pacjenta, jego stan wyraźnie się pogarszał. Matt z ogromnym napięciem wpatrywał się w wyniki EKG.

- Nie podoba mi się - stwierdził smętnie. - Ma silną bradykardię.

- Może chorował na wieńcówkę - zauważyła, obserwując wolne, nieregularne uderzenia serca na monitorze. - Jest otyły, a palce ma aż brązowe od papierosów.

- Śmiertelna mieszanka - westchnął Matt. - Jego przyjaciel mówił, że zaczęli grać kilka miesięcy temu. Pracują w biurze i stwierdzili, że przyda im się trochę ruchu. Pozostaje nadzieja, że nie podjęli tej decyzji za późno.

Słowa te brzmiały jak przepowiednia, bo mężczyzna stracił przytomność, gdy tylko dotknęli ziemi. Matt wyskoczył, zanim ucichły silniki. Personel szpitala, widząc co się dzieje, biegł im na pomoc.

- Zatrzymanie akcji serca podczas lądowania - poinformował Matt, odwracając się do Sharon. - Defibrylator, prędko!

Natychmiast włączyła przenośny defibrylator, nie mogli czekać na nowocześniejszy sprzęt szpitalny. Matt przyłożył ssawki do piersi chorego i uderzenie prądu przeleciało przez serce mężczyzny.

- Bez skutku. Jeszcze raz. Spróbował ponownie, bez rezultatu.

- Do trzech razy sztuka - zdecydował Matt. Wiedziała, że jest równie jak ona przybity.

- Mam go! - krzyknął z radością, kiedy serce mężczyzny nareszcie ruszyło. Personel szpitala cieszył się głośno, a Matt uklonił się nisko, wzbudzając ogólną wesołość.

- Szczęściara! - westchnęła jedna z pielęgniarek, idąc z Sharon do budynku. - Co ja bym dała, żeby z wami pracować.

Sharon roześmiała się nienaturalnie, hamując irytację, bo oczywiste było, że za główną atrakcję tej pracy kobieta uznała jej szefa.

- To tylko pozory - rzuciła dość ostro.

- W każdej pracy tak jest - odparła pielęgniarka. - Przepraszam, nie miałam zamiaru się wtrącać - dodała i dołączyła do swoich kolegów.

Sharon zaczerwieniła się. Zachowała się idiotycznie. Pielęgniarka mogła źle ją zrozumieć, a ona nie ma przecież żadnego prawa do Matta.

- Miejmy nadzieję... - Matt popatrzył na nią zaniepokojony. - W porządku, Sharon? Wyglądasz na zmartwioną. - Westchnął nagle. - Wiem, to trudne, jak pacjent umiera, ale musimy myśleć pozytywnie, i raczej o tych, których udaje nam się uratować.

Jego współczucie zaskoczyło ją.

- Ty tak robisz?

- Oczywiście. Myślisz, że nie boli mnie, kiedy tracę chorego? - Wzruszył ramionami i spojrzał na helikopter. - Nie robiłbym tego, gdyby mnie to nie obchodziło.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego tak starannie ukrywasz swoje uczucia?

- Nie wiem, o czym mówisz...

- Oczywiście, że wiesz. Chowasz się za maską zawodowca. Czy byłoby takim wielkim przestępstwem, gdybyś od czasu do czasu ją zdjął? - Westchnęła, a on nie spuszczał z niej wzroku. - Wydaje mi się, że celowo odsuwasz się od ludzi, i nie pojmuję tego.

- Może to ciekawa dyskusja, ale nie mamy teraz czasu, żeby ją kontynuować.

- Jego ton był chłodny, mówił jej jasno, że przekroczyła zakazaną granicę. - Skupmy się na pracy.

W milczeniu wszedł na pokład. Bert, gotowy do startu, rzucił jakieś słówko do Sharon, a ona odpowiedziała machinalnie. Ucieczka Matta, gdy wkroczyła na jego prywatne terytorium, na dobre zagnieżdżyła się w jej głowie.

Dotarli do bazy krótko przed lunchem. Sharon odwiesiła kask i poszła do pokoju. Miała ze sobą kanapki i postanowiła zjeść je na dworze. Na tyłach bazy był niewielki ogródek - dziki i zarośnięty, ale za to z ławeczką, na której można było przysiąść. Chciała zostać na chwilę sama, odsapnąć po trudnym poranku. Ale w pokoju wszyscy już na nią czekali.

- Oto nasza dziewczyna z okładki! Panie i panowie, prześwietna Sharon Lennard!

Stęknęła, kiedy Mike uniósł gazetę z jej podobizną.

- Myślałam, że mi się upiecze.

- Nie ma lekko! - oznajmił Mike. - Czemu miałabyś to ukrywać? Znakomite zdjęcie, a dla nas wspaniała reklama, chociaż powiem ci, że gdyby dali tu bużkę pewnego wyjątkowo przystojnego radiooperatora, nie opędzilibyśmy się od kobiet...

Przyjęto to zgodnym wyciem. Sharon roześmiała się.

- Czy mi się zdaje, czy koledzy nie bardzo się z tobą zgadzają? Albo się ma to coś, albo nie. To smutny fakt, z którym trzeba się pogodzić - oświadczyła.

- Zawsze wiedziałem, że mają zły gust - odparował Mike. - Aha, póki pamiętam, był do ciebie rano telefon. Jakiś dziennikarz z Londynu chciał prosić cię o wywiad. Wygląda na to, że znajdziesz się na pierwszych stronach w całym kraju.

- Mowy nie ma! - stwierdziła. - Jeśli znów zadzwoni, podziękuj mu w moim imieniu, dobrze? Nie zależy mi na popularności, wykonuję tylko swoją pracę.

Mike spuścił smętnie głowę.

- Dobra, jak sobie życzysz. Chociaż byłoby fajnie, gdybym mógł pochwalić się znajomym, że znałem cię, zanim stałaś się sławna.

No rzeczywiście, pomyślała, sławna! Zabrała swój lunch i wyszła. Ogród był bardzo zarośnięty i z trudem dotarła do ławki. Świeże powietrze wynagradzało jednak wszystkie trudy. Zjadła kanapki i rozsiadła się wygodnie, korzystając z przerwy. Baza sąsiadowała z polami, jedynym dźwiękiem zakłócającym ciszę był odległy warkot traktora. O mały włos nie zdrzemnęła się, kiedy usłyszała trzask i dostrzegła idącego jej śladem Matta.

- Przepraszam, nie chciałem przeszkadzać. - Stanął przy ławce z plastikowym pojemnikiem w dłoni. - Obiecałem Jess, że przyniosę jej trochę mniszka lekarskiego dla Sharon.

Omal się nie zakrztusiła.

- Może dla uniknięcia nieporozumień, nazwijcie mnie Sharon numer jeden, a królika Sharon numer dwa?

- Albo namówię Jess, żeby zmieniła mu imię? - odparł z uśmiechem, który zaparł jej dech. - Są przecież normalne królicze imiona, Duduś czy Ciapuś?

- Mało wyrafinowane. Moja sąsiadka nazwała swoje koty Desdemona i Otello - oznajmiła, opanowując emocje. - Było z tym początkowo sporo zamieszania, kiedy wieczorami wołała je na kolację.

Matt śmiał się głośno.

- Wyobrażam sobie! Zresztą, nie znam się na imionach dla zwierzaków.

Ruszył przez wysoką trawę, przy murze nachylił się i szybko nappełnił pojemnik.

- Chyba wystarczy - stwierdził. - Jutro znów mogę nazywać.

- Nie macie ogrodu przy domu? - spytała zaciekawiona. - A może jest tak porządny, że żaden chwast nie śmie tam wyrosnąć?

- Chciałbym! W swoim życiu przegrałem już z nimi wiele bitew - przyznał, siadając na brzegu ławki. - Na szczęście, nie mam już tego problemu, bo większość ogrodu została wyłożona płytkami. Jess łatwiej się po tym porusza. W wilgotnej ziemi jej wózek ciągle się zakopywał.

- Dobre rozwiązanie, ale nie dla biednego Sharon - zauważyła żartobliwie, myśląc, że nigdy wcześniej nie przyszło jej to do głowy.

- Zostawiliśmy trochę trawy i roślin po bokach, nie jest więc tak ponuro. Jess martwiła się, że ciągle musi prosić kogoś o pomoc, no to teraz daje sobie radę sama. Jej życie i tak pełne jest rozmaitych zakazów, lepiej więc je ułatwiać.

- Musi być trudno z dzieckiem, które ma takie problemy - zauważyła spokojnie. - Do ostatniej soboty nie miałam o tym pojęcia. Przecież trzeba wszystko dokładnie zaplanować, nawet takie codzienne zajęcia jak zakupy.

- Nie musisz mi mówić - westchnął głęboko. - Należę do komisji, która walczy o prawa niepełnosprawnych. Wiele publicznych budynków w mieście jest dla nich wciąż niedostępnych. Wydano niedawno pewne regulacje, ale to wszystko za mało. A rampy czy szerokie drzwi kosztują.

- To pewnie niekończący się problem. Wiesz, na czym to polega? Większość ludzi, tak jak ja, nie zdaje sobie z tego sprawy. Nie są nieczuli, tylko dopóki ich to nie dotyczy, nie myślą o tym - tłumaczyła z przejęciem.

- Tak, to naturalne. Szczęśliwie, większości ludzi to nie dotyczy.

- Czy jest jakaś szansa, że Jess zacznie chodzić? - spytała nieśmiało, niepewna, czy znów nie przekracza jakichś granic. Była zdziwiona i zadowolona, że Matt zaczął z nią rozmawiać. Myślała, może głupio, że to dobry znak.

- Nie - rzucił krótko. - W wypadku doznała poważnego urazu kręgosłupa. Żeby odzyskać pełną mobilność, musiałyby doczekać jakiegoś niezwykłego postępu w neurologii.

Z przykrością słuchała jego zboląłego głosu.

- To musiał być dla ciebie koszmar. Żona i Jess...

- Wolę myśleć, że najgorsze mamy już za sobą. Kiedyś nie wyobrażałem sobie, że w ogóle do naszego życia powróci normalność. Zdarzają nam się złe dni. ale jakoś udaje nam się z Jess pchać to do przodu.

Spojrzał w głąb ogrodu. Wiedziała, że myśli o zmianach, jakie zaszły w jego życiu. Chciała zaoferować pomoc, ale czuła, że ją odtrąci. Był taki punkt, którego nie potrafił przekroczyć, nawet jeśli częściowo się odkrywał.

Wstała, powodowana nagłą chęcią wydostania się z sytuacji, z którą kiepsko sobie radziła.

- Przygotuję się, na wszelki wypadek - wyjaśniła, kiedy się do niej odwrócił.

- Ja też. - Wstał, wziął pojemnik i ruszył pierwszy do budynku, uprzejmie przytrzymując dla niej drzwi.

Mike machał do nich, idąc korytarzem.

- Szukam cię, Sharon. Znowu dzwoni ten dziennikarz. Potwornie uparty.

- O co chodzi? - spytał Matt.

Twarz mu pociemniała, gdy Mike radośnie opowiadał o artykule w lokalnej gazecie. Kiedy spojrzał na Sharon, przestraszyła się nieco.

- Byłbym ci wdzięczny, gdybyś przekazała temu panu, żeby więcej nie dzwonił. Nie potrzebujemy płaczących się pod nogami dziennikarzy.

- Nie prosiłam o telefon... - zaczęła, ale Matt zniknął już w swoim gabinecie.

Mike uśmiechnął się.

- Wybacz. Nie chciałem cię wsypać.

- To nie twoja wina - uspokoiła go. - Tak czy owak, powtórz, proszę, temu człowiekowi, że nie jestem zainteresowana i nie zmienię zdania.

- Dobrze. Matt nie chce prasy. Zdaje się, że ścigali go po śmierci żony. Mam kumpelkę w szpitalu, w którym wtedy pracował. Podobno po wypadku roiło się tam od reporterów. - Potrzasnął głową. - W ogóle ich nie obchodziło, że facetowi świat się zawalił. Potrzebowali sensacji...

Sharon nie dziwiła się już zdenerwowaniu Matta. Gdyby chociaż pozwolił jej wyjaśnić sprawę. Może jeszcze nie jest za późno, pomyślała. Rzut oka na zamknięte drzwi zdecydował. Dla Matta temat jest skończony.

W drodze do pokoju służbowego powtarzała sobie, że nic prócz pracy ich nie łączy. Może powinna to zapisać i przyczepić kartkę do szafki, bo jakoś dziwnie ciężko jej to zapamiętać.

ROZDZIAŁ CZWARTY

To był najtrudniejszy dzień, odkąd zaczęła tę pracę. Tego popołudnia mieli jeszcze trzy wezwania i pod koniec zmiany Sharon z ulgą powitała kolejną ekipę. Beth Maguire z podziwem czytała listę ich lotów.

- No no! Widzę, że dało wam w kość. Ale w sumie lepsze to niż czekanie, aż coś się zdarzy. Dostaję wysypki, jak nie mam w co rąk włożyć.

- Jeżeli nic się nie zmieni, nie musisz się o to martwić - zapewniła Sharon. - Ja mam już dosyć. Będę cały wieczór leżeć z nogami w górze.

- Pozazdrościć! - zaśmiała się Beth. - Na mnie w domu czeka drugi etat. Posłuchaj dobrej rady: żadnych dzieci!

- Dam głowę, że na nic byś ich nie zamieniła! - odparła Sharon.

- Zapytaj mnie o to w dniu, kiedy mój najmłodszy dostaje kręcka. - Beth komicznie przewróciła oczami. - Oddałabym go za darmo, nie mówiąc już o zamianie! Poczekaj, aż będziesz miała swoje. Zrozumiesz, o czym mówię.

Sharon zaśmiewała się do łez.

- Zapewniam cię, że na razie nie ma na to szansy.

- Nie spotykasz się z nikim? - Beth wyraźnie chciała wiedzieć więcej.

- Niestety nie. Kocham dzieci, i chcę kiedyś mieć dziecko, ale nie znalazłam tylko dotąd odpowiedniego mężczyzny - wyjaśniła. Na dźwięk kroków odwróciła głowę i jej uśmiech zbladł. Matt kiwnął im głową, nie zatrzymując się, i wyszedł z biura.

- Och, masz jeszcze czas. - Beth wykrzywiła twarz. - Zresztą nie wiem, czemu narzekam. Jak patrzę na Matta, to dopiero doceniam swoje szczęście. Mam przynajmniej Dave'a, który dźwiga ze mną ten ciężar, a on jest kompletnie sam.

- Nie miał nikogo od śmierci żony? - zapytała Sharon.

- Chyba nie. Ale wiesz, Matt jest raczej skryty.

Rozstały się po tych słowach. Beth weszła do pokoju służbowego, a Sharon opuściła budynek i wsiadła do samochodu. Zabawne, dotąd w ogóle nie pomyślała, że w życiu Matta może być inna kobieta. Teraz ta myśl zaczęła ją prześladować. Wiele kobiet pragnęłoby takiego partnera. A może niewygasła miłość Matta do żony nie dopuszcza ewentualności nowego związku?

Jechała w stronę miasta, zastanawiając się, czy kupić po drodze coś do jedzenia. Miała za sobą ciężki dzień i nie znajdowała w sobie ochoty na gotowanie. W końcu zdecydowała się na chińską restaurację na przedmieściu,

która sprzedawała dania na wynos, ale po przejechaniu zaledwie stu metrów dojrzała na poboczu samochód Matta. Spod maski buchał dym.

Zaparkowała za nim i prędko wysiadła.

- Wyciek z chłodnicy. Zatrzymałem się, bo widziałem, że silnik się przegrzał. - Matt odsunął ją na bezpieczną odległość.

- Uważaj, bo cię poparzy.

- I co teraz? - zatroskała się.

- Nic. Mogę tylko zadzwonić do mechanika, żeby go zabrał.

- Spojrzał na zegarek i westchnął. - Akurat dzisiaj! Obiecałem

Jess, że pójdziemy do kina. Będzie strasznie rozczarowana. Chodzimy na wcześniejsze seanse, żeby nie kładła się późno, ale teraz na pewno nie zdążymy.

- Podwożę was - zaproponowała. Podejrzewała, że Matt odmówi, i dodała szybko: - To żaden kłopot, mam kino po drodze do domu, a z powrotem możecie wziąć taksówkę.

- Skoro tak... - Był rozdarty między chęcią spełnienia pragnień córki i niechęcią przyjęcia pomocy Sharon. Ostatecznie córka zwyciężyła. - Dziękuję. Jesteś naprawdę wspaniałomyślna.

Zamknął maskę i drzwi samochodu i wszedł do jej auta. Sharon ruszyła, potajemnie skacząc z radości. Zdawało się jej, że zgoda Matta to jakiś wielki przełom.

Powoli, kobieto, otrząsnęła się zaraz. Nie pozwól się ponosić wyobraźni.

- Na skrzyżowaniu skręć w lewo, mieszkam kawalek dalej - powiedział, kiedy zbliżyli się do centrum.

Skinęła głową, skupiona na tym, by bezpiecznie pokonać popołudniowy szczyt. Wreszcie zatrzymała się przed cofniętym nieco w głąb ulicy, solidnie wyglądającym budynkiem, i wyłączyła silnik, Namyslała się, czy powinna poczekać w samochodzie. Jessica rozwiązała za nią tę kwestię, pojawiając się w bramie z rozpromienioną buzią.

- Przyjechałaś zobaczyć królika?

- Właściwie to tylko podwoziłam twojego tatę, bo zepsuł mu się samochód. Ale, oczywiście, chętnie go zobaczę.

- Pewnie! Jest w ogrodzie. Chodź!

Jessica obróciła wózek i zniknęła za ścianą budynku. Sharon spojrzała na Matta. Nie chciała, by pomyślał, że jest taka pewna siebie, ale on tylko się uśmiechnął.

- No idź. Jess byłaby niepokieszona, gdybyś się nie zachwyła. Odpowiedziała uśmiechem, zadowolona, że nie bierze jej zachowania za naruszenie prywatnego terytorium. Jessica czekała na nią obok nowiutkiej klatki. Sharon nie mogła utrzymać powagi, zobaczywszy na drzwiczkach klatki tabliczkę z imieniem zwierzątka.

- Tatuś mówił, że nazwałaś go moim imieniem.

- Ale się nie gniewasz? - spytała dziewczynka. - Ja wiem, że to chłopiec, ale ma takie samo futerko jak twoje włosy. Widzisz?

- Logika nie do podważenia - zauważył Matt tak serio, że z trudem powstrzymała parsknięcie.

- O tak. I, rzecz jasna, nie gniewam się, kochanie. Jestem bardzo szczęśliwa. To pierwszy królik, który nosi moje imię. To dla mnie wielki komplement.

- Wiedziałaś, że się ucieszysz - stwierdziła z przekonaniem Jess. - Mówiłam ci, tatusiu.

- Rzeczywiście. - Matt śmiał się, obejmując córkę.

Jego ojcowska miłość za każdym razem poruszała Sharon. Tym bardziej, im zagorzałej odsuwał się od niej. Krył w sobie mnóstwo ciepła, ale nie było ono dla niej przeznaczone.

- No to zamelduję się u pani Gregson. I zadzwonię do mechanika.

- Pani Gregson? - Sharon spojrzała zaniepokojona.

- Opiekuje się Jess, kiedy jestem w pracy - wyjaśnił.

- Ale nie mieszka z wami? - Nurtowało ją, czy to może być ta kobieta w jego życiu.

- Nie. Wolę być z Jess sam. potrzeba mi tylko kogoś do pomocy. Całkiem nieźle dajemy sobie radę, nie, żabo?

- Uhm. poza tym, że nie umiesz piec ciasta, tatusiu. Mamusia Sary piec/dużo ciastek, a ty nie potrafisz. - Jessica obróciła się do Sharon z prośbą w oczach. - Umiesz piec ciasto, Sharon? Nauczysz mnie?

- Sharon ma ważniejsze rzeczy na głowie - wtrącił Matt, zanim zdążyła się odezwać. Strapiona mina dziewczynki przygnębiła go. - Czemu nie poprosisz pani Gregson?

- Prosiłam, ale powiedziała, że nikt jej za to nie płaci - wymamrotała Jess.

Sharon zauważyła, jak Matt zaciska usta, i zrozumiała, co go tak denerwuje. Nie rozumiała za to, czemu opiekunka robi problem z tak prostej sprawy. Już chciała zapewnić Jess, że z przyjemnością będzie jej nauczycielką, kiedy uświadomiła sobie, że to niewłaściwy krok. Na szczęście Jessica wkrótce się

rozchmurzyła. Kiedy Matt się oddalił, pokazała Sharon, co kupiła dla królika. Chciała nawet wyjąć go z klatki, zaprezentować, jak go szczotkuje.

Opieka nad zwierzątkiem sprawiała jej ogromną radość. Dobry rodzic dba nie tylko o fizyczną kondycję dziecka, a Matt nie potrzebował w tej kwestii doradców.

Matt pojawił się po chwili i pomógł Jess zapakować królika z powrotem do klatki. Sprawdził czas.

- Naprawdę mogłabyś nas podrzucić? - zwrócił się do Sharon. - Nie chcę ci psuć wieczoru.

- Jak kocha, to poczeka - zażartowała, idąc za dziewczynką ogrodową ścieżką.

- Trzeba było powiedzieć, że masz randkę... - zaczął, unosząc brwi, kiedy się roześmiała. - Co w tym śmiesznego?

- Mam randkę sama z sobą. Na dzisiejszy wieczór zaplanowałam tylko zakup dania na wynos i byczenie się przed telewizorem.

- Aha. - Parsknął śmiechem, ale usłyszała w tym zaciekawienie. - Pewnie nieczęsto ci się to zdarza. Ale taki samotny wieczór raz na jakiś czas może być przyjemną odmianą.

- Z przykrością cię rozczaruję, ale nie prowadzę ożywionego życia towarzyskiego. Tak naprawdę, nie pamiętam, kiedy ostatni raz gdzieś wychodziłam.

- Poważnie? - Przystanął i patrzył na nią zdumiony. - Trudno w to uwierzyć. Można wiedzieć, dlaczego?

- Nie miałam na to czasu, kiedy opiekowałam się ojcem - tłumaczyła, nie chcąc, by pomyślał, że oczekuje współczucia.

- Nie mogłam go zostawić na dłużej i straciłam kontakt z większością znajomych, poza paroma najbliższymi.

- Nie wiedziałem. To znaczy - pisałaś w podaniu, dlaczego przeniosłaś się tu z Londynu, ale nie miałem pojęcia, że byłaś jedyną opiekunką ojca.

- Mama zmarła dziesięć lat temu. Jestem jedynaczką. Cieszyłam się, że mogłam z nim być.

- Niewiele kobiet w twoim wieku zdecydowałoby się na to - zauważył cicho.

- O, to nieprawda. Prawie każdy by tak postąpił. - Mówiła tak, by nie stwierdził, że żałuje spędzonego z ojcem roku. Zrobiła to z miłości do niego, a spokój jego ostatnich chwil wart był wszelkich poświęceń.

- Mam teraz mnóstwo czasu, żeby zadbać o swoje życie. Nie jestem jeszcze taka stara, więc mam nadzieję, że zdążę zrealizować swoje marzenia.

- Oczywiście - zgodził się tonem, który nie pozwalał odgadnąć, co naprawdę myśli.

Spojrzała na niego niepewnie, ale właśnie odwrócił się do Jess, która go o coś pytała. Musi wreszcie skończyć z tym ciągłym analizowaniem każdego jego słowa!

Jessica była bardzo podekscytowana podróżą obcym samochodem. Matt usadził ją z tyłu i przypiął pasem, a ona nie przestawała szczebiotać. Uniósł znacząco wzrok, składając wózek i chowając go w bagażniku.

- Jest taka przejęta. Jej głosik będzie ci bez przerwy brzęczał w uszach.

Roześmiała się, pomagając mu. Jej samochód był dużo mniejszy niż jego, miał też ciaśniejszy bagażnik.

- Wytrzymam. Lata przeciskania się przez ulice Londynu przyzwyczyły mnie do hałasu.

- To ci się bardzo przyda! - zauważył, zatrzasnąwszy klapę. Miał rację. W drodze do kina Jess nie zamykała się buzia.

Sharon bardzo to cieszyło. Tyle czasu była sama, że takie żywe towarzystwo sprawiało nie lada przyjemność. Prawdę mówiąc, z żalem podjechała pod kino. Perspektywa kolejnego wieczoru przed telewizorem niezbyt do niej przemawiała.

Matt szybko wyładował wózek i posadził w nim Jess.

- Bardzo jestem ci wdzięczny.

Nie dokończył, bo córka pociągnęła go za rękaw, musiał nachylić się i wysłuchać szeptu do ucha. Sharon widziała, jak potrząsa głową, i przestraszyła się, domyślając się, o co chodzi.

- Proszę, tatusiu! - błagała Jessica, a Matt tylko wzdychał. Wyprostował się i odwrócił do Sharon z pełnym żalu uśmiechem. - Wiem, że ci się narzucamy, ale czy nie zechciałabyś zostać i obejrzeć z nami film? Sprawiałabyś Jess wielką radość.

- Sama nie wiem... - zawahała się, wiedząc, że to tylko pomysł dziewczynki.

- Mnie też będzie miło. Zgódź się, proszę.

Być może odmówiłaby Jess, ale nie jemu. Nabrała głęboko powietrza, by uciszyć wariujące serce. Oczywiście, za dużo się po tym spodziewa. Ale taka już jest. Prośba Matta wyglądała na wielki krok do przodu.

- No to dziękuję. Chętnie zostanę.

- Hurra! - zawołała Jess i ruszyła prędko do wejścia. Matt gonił za nią, zostawiając Sharon w tyle. Pomógł Jess wjechać na rampę, był pogodny. Jeśli robiła jakiś błąd, myślała Sharon, w tym momencie nie mogła tego stwierdzić.

- Ale było fajnie!

Po wyjściu z kina Jessica była oszołomiona. Film ją zafascynował. Sharon też przypadł do gustu, choć miała świadomość, że przynajmniej część jej przyjemności brała się z faktu, że to ta mała dziewczynka tak dobrze się bawi.

- Pójdziemy teraz na pizzę? - dopraszała się Jessica. Musieli poczekać, aż tłum wyjdzie z kina, żeby swobodnie zjechać wózkiem z rampy.

Sharon dostrzegła przelotne spojrzenie kobiety, która obejrzała się krótko za Jessica. Jak musiało się czuć to dziecko, traktowane jak jakiś odmieniec? Jessica straciła władzę w nogach, ale jej umysł pozostał sprawny, i z pewnością wie, że zwraca uwagę. Sharon zapragnęła zaopiekować się nią, wątpiła wszakże, by Mattowi się to podobało.

- Oczywiście, że tak - zapewnił szybko. - Obiecałem ci pizzę, a ja zawsze dotrzymuję słowa, prawda?

- Tak - odparła Jessica radośnie.

Jechali przez park. Kino było częścią kompleksu rozrywkowego, w którym mieściło się też kilka barów szybkiej obsługi. Sharon rozumiała, że automatycznie włączono ją do dalszych planów na ten wieczór, szła zatem obok wózka, słuchając, jak Jess emocjonuje się filmem.

Matt zatrzymał się przed restauracją i z błyskiem w oku patrzył, jak Sharon otwiera im drzwi.

- Nie martw się. Odpoczniesz, jak zatka sobie buzię jedzeniem.

- Uwierzę, jak zobaczę - odparła Sharon z uśmiechem.

- Rozumiem cię - rzekł, zręcznie manewrując wózkiem. Nie byli jedynymi widzami, którzy wpadli na ten pomysł.

Sharon rozglądała się z dezaprobatą. Jedyne wolne stoliki znajdował się w rogu, gdzie trudno byłoby wpasować się Jess.

- Nie mamy dziś wolnych miejsc dla wózków - rzekła kelnerka z żalem i zwróciła się do następnych gości w kolejce.

Matt z niechęcią patrzył, jak poprowadziła ich do ostatniego wolnego stolika.

- Nie możemy zjeść pizzy, tatusiu? - Jess była podłamana, patrząc, jak inne dzieci zajmują miejsca.

- Musielibyśmy poczekać, aż zwolni się coś bliżej drzwi - wyjaśnił spokojnie.

Kiwnął na kelnerkę, ale ona to zignorowała. Próbował jeszcze dwa razy, ale kobieta postanowiła go nie zauważać. Sharon widziała, jak rośnie w nim złość. Nie uwierzyłaby w tak bezczelną dyskryminację, gdyby nie zobaczyła jej na własne oczy.

- Chyba są dzisiaj bardzo zajęci, prawda, Sharon?

W mig pojęła, o co mu chodzi. Nie chciał, by w Jess zrodził się choćby cień podejrzenia, że to przez nią nikt się nimi nie interesuje.

- A może byśmy kupili sobie coś na wynos, jak mówiłaś?

- Doskonały pomysł - potwierdziła prędko. Uśmiechnęła się do Jessiki i serce ją zabolowało, bo dziewczynka była wyraźnie rozczarowana.

- Nie wolisz chińszczyzny, kochanie? Kupimy ciasteczka z wróżbą, będziemy się świetnie bawić.

- A co to jest? - zainteresowała się Jess. Rozchmurzyła się, słysząc, że w każdym ciasteczku jest kartka z jakąś przepowiednią. - Naprawdę je kupimy? Dla każdego po jednym, dla ciebie, dla tatusia i dla mnie?

- No pewnie. - Sharon ją przytuliła. - Kto by tam zamienił ciasteczka z wróżbą na pizzę?

- Nie my! - Matt bezgłośnie podziękował jej i szybko wyprowadził wózek z restauracji.

Zostawił je w aucie i dyskretnie zwrócił się Sharon:

- Zaraz wracam, zamienię słówko z właścicielem. Takie traktowanie nie ujdzie im na sucho. Poczekasz z Jess?

- Jasne.

Westchnęła, patrząc, jak Matt biegnie przez park. Jakby miał mało kłopotów. Jednak popierała go całym sercem. Nikomu nie wolno uważać niepełnosprawnych za ludzi drugiej kategorii, i im szybciej wszyscy to sobie uświadomią, tym lepiej dla wszystkich.

Matt wrócił po około dziesięciu minutach.

- W porządku? - zapytała, zapalając silnik.

- Tak. Więcej się to nie powtórzy. Zdziwiający, jak szybko ludzie zmieniają zdanie, kiedy im się powie, ile to kosztuje - zauważył szorstko.

- Smutne tylko, że trzeba im przypominać - dodała, obserwując Jessicę w lusterku.

Niespodziewanie uścisnął jej rękę.

- Nie przejmuj się tym, Sharon.

Kiedy ją puścił i odwrócił się do córki, wzięła głęboki oddech, ale powietrze nie dotarło do płuc. Skierowała się do chińskiej restauracji, z całych sił próbując zachować do tego wszystkiego dystans. Tylko jej dłonie drżały niezrozumiale.

A kiedy Matt znów spojrzał na nią z uśmiechem, zrobiło jej się gorąco. Jakby jej życie skręciło nagle z wyznaczonej ścieżki. Nie potrzebowała

ciasteczka z wróżbą, by wiedzieć, że jej przyszłość związana jest z siedzącym obok mężczyzną.

- Wreszcie zasnęła! - Matt padł na sofę i przyłożył dłoń do ucha. - Posłuchaj.

Sharon zamieniła się w słuch, spełniając jego prośbę. Wieczór w domu Matta przeleciał nieznośnie szybko. Jess kazała im zaraz po wejściu wybrać po ciastku z wróżbą, lecz Matt nalegał stanowczo, by poczekała, aż zjedzą kolację.

Gdy tylko więc skończyli, każdy z nich sięgnął po ciastko i przeczytał na głos, co los ma dla niego w zanadrzu. Było mnóstwo śmiechu, kiedy Jess poważnie doradzała im w sprawie czekających ich podróży i ludzi, których mają spotkać. Zabawa sprawiła też przyjemność Sharon, zwłaszcza że wróżba nie przewidywała rewolucyjnych zmian w jej życiu.

- Nic nie słyszę - odparła, marszcząc brwi.

- No właśnie. Czy to nie cudowne? Cisza, idealna cisza! Rozbawił ją jego smętny ton.

- Przecież doskonale, wiesz, że martwiłbyś się, gdyby była za spokojna.

- Wiem! Ale to nie znaczy, że czasem mnie to nie cieszy. Ona zagadałaby człowieka na śmierć.

- Jak większość dziewczynek. Mój ojciec nazywał mnie pleciugą, kiedy byłam w jej wieku. I pewnie czuł tak samo jak ty - że cisza bywa cenniejsza niż złoto.

- Widzę, że dogadalibyśmy się, gdyby dane nam było się spotkać. - Westchnął niespodzianie. - Naprawdę jestem ci bardzo wdzięczny za wszystko, co zrobiłaś. Mam nadzieję, że nie czułaś się do tego zmuszona.

- Ależ nie! - zaprotestowała. - Dobrze się bawiłam, poza tym incydentem w pizzerii. Dzięki Bogu, że Jess niczego się nie domyśliła.

- Ale nie zawsze tak będzie, niestety - rzekł ze smutkiem.

- W pewnym momencie zaczniesz rozumieć, dlaczego nie może żyć tak jak inni. - Sharon wiedziała, że bardzo nad tym ubolewa. Jego ton stał się szorstki i nieprzyjazny.

- Jess wymaga od ciebie ogromnej opieki - zauważyła cicho - ale musisz wiedzieć, że chroniąc ją przed rzeczywistością, możesz zrobić jej większą krzywdę.

- Wiem. Będzie musiała nauczyć się radzić sobie z przesadami i ignorancją, ale jest jeszcze dzieckiem. Tyle już przeszła, że chcę jej zaoszczędzić trosk tak długo, jak to możliwe. - Z westchnieniem popatrzył w sufit. - Mam tylko nadzieję, że nie przesadzę.

- Na pewno nie. - Uśmiechnęła się, gdy na nią spojrział.
- Jesteś fantastycznym ojcem, Matt. Jessica ma szczęście.
- Może, Ale to nie zmienia faktu, że nie ma matki. Nigdy nie zastąpię jej Claire.
- Może jeszcze spotkasz kogoś, ożenisz się - zasugerowała, ale potrząsnął tylko głową.
- Nie chcę. Obchodzi mnie tylko Jessica i doprowadzenie jej do jak najlepszego stanu. Poza tym nic się nie liczy.
- Ale zasługujesz przecież, żeby mieć własne życie. Jesteś młody, Matt. Nie powinienesz przekreślać szansy na szczęście!
- Nie mam ani czasu, ani ochoty na kolejny związek. Praca i dziecko znakomicie wypełniają mi czas - oznajmił.
- A gdybyś jednak spotkał kogoś, z kim dzieliłbyś opiekę nad Jess? Byłoby ci lżej - upierała się, pragnąc go przekonać.
- Przerzucić to na czyjeś barki? To by nie było fair. Jess jest moją córką i moim obowiązkiem jest opiekować się nią. - Widziała na jego twarzy ból. - Tylko tyle mogę zrobić, a to niewiele, biorąc pod uwagę, że jestem odpowiedzialny za to, co stało się z nią i jej matką.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Dlaczego uważasz, że jesteś winny? Słyszałam, że najechał na nie samochód - rzekła ze zdumieniem.

- To prawda. Kierowca ciężarówki stracił panowanie nad kierownicą i wjechał na chodnik. Okazało się potem, że miał zawał. - Matt wyrzucał słowa pozornie obojętnie, po to tylko, jak wiedziała, by trzymać emocje na wodzy. - Ucierpiało wówczas więcej osób, ale one dwie najbardziej. - Wstał gwałtownie. - Dowiedziałem się potem od policji, że, jak opowiadał jeden ze świadków, Claire usiłowała ratować Jess, zamiast sama uskoczyć. Typowe dla niej. Nigdy nie myślała o sobie.

Uśmiechnął się smutno i ciągnął tym samym tonem:

- Najgorsze, że w ogóle miało ich tam nie być o tej porze. Claire zabrała Jess po szkole, żeby kupić jej nowe buty, prosiła, żebym zabrał je w drodze do domu. Pracowałem wtedy w szpitalu Royal i żeby dostać się do domu, musiałem przejechać przez miasto. Umówiliśmy się przed sklepem o piątej, ale mnie zatrzymano. Niby nic pilnego, jakieś złamanie, z którym nie radził sobie praktykant. Zostałem mu pomóc. Gdyby tak się nie stało, Claire i Jess nie byłoby na ulicy, kiedy ciężarówka wjechała w tłum.

Sharon milczała. Matt z pewnością nie był niczemu winien, ale przekonywanie go o tym nie miało w tej chwili sensu. Świetnie czuła, co przeżywał od tamtego tragicznego momentu, żyjąc z bólem i niezasłużonym poczuciem winy. Na pewno wciąż torturował się myślą, że gdyby zdążył na czas...

- Sharon? - odezwał się zakłopotany.

Skoczyła na równe nogi, żeby nie zobaczył jej łez. Byłoby niedobrze, gdyby i tym się obciążył.

- Ja... Lepiej już pójdę...

- Wybacz. Nie chciałem cię martwić. - Miał głos nabrzmiały emocjami i niechciane łzy popłynęły jej po policzku.

Matt nie tylko nie jest nieczuły. On jest zbyt dobry i myśli o tym, z jakim trudem podporządkowywał uczucia rozumowi, by poradzić sobie z wychowaniem córki, bolała jak diabli.

- Nie przejmuj się, jestem sentymentalna - odparła, wyławiając z kieszeni chusteczkę i osuszając oczy. - To ja przepraszam. Niepotrzebnie wywołałam wspomnienia.

- Rzadko mówię o śmierci Claire. Sam się dziwię, że wyrzuciłem z siebie tyle słów. Naprawdę nie miałem zamiaru.

- Wiem. - Uśmiechnęła się z żalem. - Jesteś zamkniętym człowiekiem, prawda? Ale trzeba się czasem wygadać. W każdym razie musisz wybić sobie z głowy, że cokolwiek stało się tamtego dnia z twojej winy. To był tragiczny wypadek.

- Być może. - Wzruszył lekko ramionami. - Dziękuję, że mnie wysłuchałaś, Sharon. Doceniam to, i wszystko, co zrobiłaś dziś dla nas.

Już jej uciekał, nie omieszkała tego zauważyć. Uprzejmie informował, że wieczór dobiegł końca. Pewnie zaczął już żałować, że się przed nią otworzył, a tak chciałaby wiedzieć, czy ta szcera rozmowa przyniosła mu ulgę.

Skierowała się do wyjścia, sama już pragnąc znaleźć się na zewnątrz. I po cóż zamartwiała się, że Matt odrzuca jej pomoc? To bez sensu. Zatrzymała się na stopniu, zastanawiając się przez moment, czy powinna mu obiecać, że zachowa rozmowę w tajemnicy.

- Jeżeli denerwujesz się, że coś powiem... - zaczęła, ale coś przykuło jej wzrok. Noc była jasna, księżyc w pełni sprawiał, że ogród wyglądał jak w samym środku dnia. Dlatego tak łatwo wypatrzyła skaczące w trawie zwierzątko. - Czy to nie królik Jessiki?

- Jeśli nie, to jego bliźniak - odparł Matt, dając nurka za zwierzakiem, który szybko umknął w krzaki.

Sharon ruszyła z odsieczą, krztusząc się ze śmiechu.

- Nie ma wielkiej ochoty dać się złapać.

- Powtórz to! - Matt zrobił wypad, a królik kolejny skok ku wolności. Tym razem Matt zdołał go chwycić, lecz zwierzę i tak wymknęło mu się z rąk i pogardliwie machając ogonkiem, wystrzeliło w stronę żywopłotu.

- Zatrzymaj go! - krzyczał Matt. - Jak wypadnie na ulicę, to koniec!

Sharon puściła się przez trawę, lądując na kolanach naprzeciw królika. Zgarnęła go i trzymała kurczowo.

- Dobra robota! Grałaś może w reprezentacji rugby? - żartował Matt. - Przydałoby im się kilku graczy twojej klasy.

Roześmiała się i poszła za nim na tyły ogrodu.

- Zostanę przy medycynie. Jakoś przeżyję bez stale pokaleczonych kolan.

Rzucił okiem na jej zabrudzone dżinsy.

- Mam nadzieję, że się nie skaleczyłaś. Rzeczywiście pojechałaś na kolanach.

- Będę żyła - zapewniła, umieszczając królika w klatce. Matt sprawdzał zamek.

- Wygląda, jakby sam się uwolnił. Poszukam śrubokrętu i przykręcę to lepiej, bo Sharon numer dwa wyruszy na popas, jak tylko zobaczy nasze plecy.

- Zaczekam - powiedziała. - Nie martw się, ten królik nigdzie już dziś nie pójdzie.

- Gdyby zniknął, nie mógłbym spojrzeć Jess w oczy. Idę po ten śrubokręt.

Pospieszył do środka, a Sharon trzymała wartę przy klatce. Po paru minutach wszystko było gotowe.

- Wystarczy - stwierdził, podając jej rękę, by wygodnie wstała.

Nie była pewna, jak to się stało, że ni stąd, ni zowąd potknęła się. Może na skutek tego, że od klęczenia zeszywniały jej kolana.

- Uważaj! - Matt rozłożył ręce.

Leciała do przodu. Niespodzianie zderzyła się z jego klatką piersiową, która powstrzymała ją przed upadkiem.

Oddychając, wciągała świeży zapach jego skóry, a kiedy się poruszyła, czuła jego naprężone ciało. Słyszała nawet bicie jego serca, co przyprawiło ją o nerwowe drżenie. Nigdy dotąd nie była z nikim tak blisko.

- Sharon?

Wymówił jej imię z dziwnym wahaniem. Była zaskoczona, określenie „niepewny” było ostatnim, jakie do niego pasowało. Podniosła wzrok, a Matt zamruczał coś pod nosem. Czuła, że nie ze złości, ale ze zdziwienia...

Nie zapanowała jeszcze nad swym zaskoczeniem, kiedy poczuła na wargach jego usta. To przyszło jak szok, ale wkrótce ustąpiło innym emocjom. Nie był to pierwszy namiętny pocałunek w jej życiu, ale nigdy dotąd nie była tak podniecona. Ten pocałunek odsuwał w głęboki cień wszystkie pozostałe. Objęła go za szyję, przytuliła. Matt całował tak, że zaboląło, gdy w końcu przerwał. Poruszył coś w niej, uruchomił coś, o czym nie miała pojęcia.

- Przepraszam, nie powinienem...

- Cicho! - Zasłoniła mu usta ręką. Tak się bała, by słowa nie zepsuły tej chwili. - Nic się nie stało. Zrobiłabym... zrobiłabym to samo, gdybyś ty nie zaczął.

Oczy tak mu błyszczały, że myślała, iż znów ją obejmie. Już się ku niemu chyliła, gdy gwałtownie ją puścił.

- Mogę więc tylko powiedzieć, że to się więcej nie powtórzy. Nie chciałbym psuć naszych zawodowych relacji.

- Boże broń! To byłoby nie do zniesienia, prawda? - Zaśmiała się krótko i gorzko. - Nie martw się, Matt. Nie czuję się ani trochę urażona. Złożmy to na karb chwilowego szaleństwa. I niech tak zostanie.

- Sharon! - Zbliżył się o krok. Próbował się pozbierać i odniósł sukces, bo jego twarz przybrała charakterystyczny ironiczny wyraz.

- Masz rację. Tak czy owak, był to bardzo stresujący dzień. Nic dziwnego, że się zapomnieliśmy.

Być może on rzeczywiście się zapomniał, nie zmieniało to jednak faktu, że pragnął ją pocałować, nawet jeśli później tego żałował. Stało się. Sharon nie potrafiła powiedzieć, czy to dobrze, czy źle.

Pożegnali się sztywno u bramy. Sharon wsiadła do samochodu i ruszyła do domu. Była dopiero dziesiąta, mimo to położyła się do łóżka. Spać jednak nie mogła. Przewracała się z boku na bok, odtwarzając sobie wydarzenia tego wieczoru, które zawsze kończyły się w ogrodzie, pocałunkiem i uściskiem, z którego nie chciał jej wypuścić.

Niełatwo będzie wymazać to z pamięci. Na myśl, jak bardzo wyrzuca to sobie teraz Matt, rozboleła ją serce.

- Ale rewolucja, co? Nie wierzyłem własnym uszom, kiedy Matt oświadczył, że zamienia ekipy. Musiał mieć jakiś powód. Mówił coś?

- Nie, ani słowa. - Sharon zmusiła się do uśmiechu, kiedy Mike podejrzliwie się jej przypatrywał. - Jestem chyba ostatnią osobą, z którą dyskutowałby o swoich planach.

Zaśmiali się i rozmowa przeniosła się na inny temat. Od tamtego wieczornego pocałunku minął już tydzień. Sharon starała się o nim zapomnieć i skupić na sprawach zawodowych. Niezbyt skutecznie. Matt był dla niej wyjątkowo chłodny, do tego stopnia, że nie uszło to uwagi pozostałych, którzy zaczęli już to komentować. Dałaby głowę, że reorganizacja miała osobiste podłoże.

Z końcem miesiąca miała zacząć pracować z Bertem, Matt z kolei z Beth Maguire. W ten sposób próbował jej unikać.

Wyszła z pokoju. Nie spocznie, póki nie dowie się, o co mu chodzi. Matt był u siebie. Zapukała. Nie zamierzała się spierać, potrzebowała raczej wyjaśnienia. Jeżeli zmiany w pracy rzeczywiście spowodowane były ich spotkaniem, należało o tym porozmawiać.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Sharon? - Odłożył pióro na biurko. Leżała tam sterta papierów, przeszła więc od razu do rzeczy.

- Chciałam się dowiedzieć, czy pozamieniałeś nas tak w związku z tamtym wieczorem?

Nie udawał nawet, że nie rozumie.

- Nie, to nie ma z tym nic wspólnego.

- Aha - mruknęła, zbity z tropu. Matt westchnął, widząc, jak się męczy.

- Sharon, posłuchaj. Uzgodniliśmy, że o tym zapomnimy, ale oczywiście to nie jest takie proste. W każdym razie nie zrobiłem tej rotacji przez ciebie. - Wskazał górę dokumentów.

- To przez to.

- Nie rozumiem - zdziwiła się.

- W planach jest drugi helikopter dla naszej bazy. Bardzo go potrzebujemy i byłoby fantastycznie, gdyby udało się zdobyć jakieś pieniądze. Siedzę teraz nad kosztorysem dla sir Humphreya, żeby mógł go przedstawić lokalnym władzom. W tej chwili jesteśmy wspierani przez organizację charytatywną, ale jeżeli władze zdecydują się nas poprzeć, wiele się zmieni. Dwa helikoptery z dwiema załogami, pracującymi dwadzieścia cztery godziny na dobę, uratują więcej ludzi.

- Ale wciąż nie wiem, co ma do tego reorganizacja?

- Muszę przygotować, pełny szacunek naszych potrzeb. Na przykład, czy mamy zaangażować jeszcze jednego lekarza.

- Uniósł ramiona. - Niewątpliwie przydałby się w niektórych wypadkach, chociaż nie podważam tym waszych kompetencji. Dyplomowani pielęgniarze są ekspertami w nagłych wypadkach, ale bywają przypadki, które bezwzględnie wymagają lekarza. Zresztą, wszystko jest kwestią wyważenia zysków i strat.

- Chcesz powiedzieć, że próbujesz zmierzyć nasze siły?

- Właśnie. Nie mogłem latać z Beth, dopóki cię tu nie było. Twoja poprzedniczka wciąż siedziała na zwolnieniu, a więc byłem potrzebny na tej zmianie. Teraz mamy pewną równowagę i mogę przedstawić naszą ofertę.

- Rozumiem. - Uśmiechnęła się. - Wybacz. Chyba przesadziłam. Byłeś ostatnio taki oficjalny, że tylko to potrafiłam wymyślić.

- Oficjalny?

Usłyszała zaniepokojenie w jego głosie.

- Tak. Nie czułeś tego?

- Nie. - Odsunął krzesło i wstał. Podeszedł do okna i popatrzył na parking. - Staram się traktować cię tak jak innych, ale widocznie mi się nie udaje. Zresztą to chyba nic dziwnego w tej sytuacji.

- Czemu tak mówisz? - spytała cicho, modląc się w duchu, by nie powiedział przypadkiem, że bardzo żałuje tego, co między nimi zaszło.

- Trudno mi myśleć o tobie tak jak o Bercie, na przykład - tłumaczył, zerkając na nią.

Roześmiała się z radości, że Matt potrafi z tego żartować.

- Uhm, to rozumiem.

- Tak? To może zrozumiesz też, czemu zbyt daleko się posunąłem, wskutek czego z kolei zachowuję teraz dystans. Nie chciałem tego, Sharon, przepraszam.

Mówił szczerze. Ale co z tego, że było mu przykro? I tak pragnął o wszystkim zapomnieć, a to bolało bardziej niż powinno. Ktoś mógłby jej wytknąć, że Matt tylko ją pocałował, lecz z jakiegoś powodu stało się to wydarzeniem numer jeden w jej życiu.

Dźwięk alarmu zabrzmiał jak wyzwolenie! Wybiegli z gabinetu. Mike wyciągał rękę z raportem do Andy'ego.

- Co mamy? - spytał Matty dołączając do nich.

- Facet spadł ze skały w Yorkshire - zakomunikował pilot.

- Jego przyjaciel zdołał wszcząć alarm, ale gość jest uwięziony na występie skalnym i Bóg wie, w jakim jest stanie. Raczej nieprzytomny, ale to wszystko, co wiemy.

- Dobrze, spieszmy się. Ile czasu nam potrzeba? - pytał Matt.

- Nie mniej niż pół godziny. Ale powiem dokładnie, jak sprawdzę mapę - odparł Andy.

- Trzymaj. - Mike wręczył mu kawałek papieru z określeniem współrzędnych. - Niezbyt dokładne. Ten kolega, który dzwonił, tylko mniej więcej podał miejsce upadku. Włączyło się pogotowie górskie i dadzą nam znać, jak coś znajdą.

- Super. Szukamy igły w stogu siana - zauważył Andy. Sharon uśmiechnęła się.

- Nawet w wielkim stogu. Miejmy nadzieję, że przynajmniej ubrał się w coś kolorowego i jest z daleka widoczny.

Spojrzeli na Mike'a. Skrzywił się.

- Przykro mi, ale z prognozy wynika, że wisi tam teraz potężna mgła.

- No to będziemy szukać tej igły z kłapkami na oczach - odparował Andy. - Henderson, możesz nam zaoszczędzić reszty dobrych wiadomości.

Roześmiali się zgodnie, łącznie z Mikiem, i pospieszyli do swoich obowiązków. Większość medyków ma ten sam, trochę wisielczy humor, na

skutek wyczerpującej emocjonalnie pracy. Codzienne ocieranie się o śmierć nie jest łatwe, żart - niczym zawór bezpieczeństwa - pozwala jakoś to przetrwać.

Dopiero po czterdziestu minutach dotarli nad miejsce wypadku. Zgodnie z ostrzeżeniem Mike'a, mgła chwilami była nieprzenikniona. Zrobili z tuzin okrążeń, zanim Mart coś wypatrzył.

- Tam, około trzeciej!

Sharon odwróciła głowę, żeby spojrzeć przez znajdujące się za nią okno. Mgła rozrzedziła się nagle i Sharon spostrzegła jasnożółtą kurtkę na półce w połowie zbocza.

- Raczej nie wylądujemy - stwierdził Andy, studiując skalisty taras. - Podlecę możliwie najbliżej i wyskoczycie.

- Dobra - zgodził się Matt, patrząc niespokojnie przez okno, kiedy helikopter zaczął się zniżać.

Nad nimi wyrastała góra. Sharon wstrzymała oddech, w pełni świadoma niebezpieczeństwa. Jeden drobny ruch i śmigła uderzą w skałę, a to może się skończyć tragicznie.

- Zejdę pierwszy - oznajmił Matt, otwierając drzwi. - Potem zdecydujemy co dalej.

Wiedziała, co to znaczy. Muszą najpierw sprawdzić, czy mężczyzna w ogóle żyje. W napięciu obserwowała, jak Matt zbliża się do niego. Podniósł głowę, pokazując im znanym gestem, że jest w porządku.

Bert rzucił kołnierz usztywniający i deskę pod kręgosłup. Matt ułożył je na skale i przyłożywszy zwinięte dłonie do ust, zawołał:

- Sharon, mogłabyś zejść? Jesteś mniejsza niż Bert, a tu nie ma specjalnie miejsca.

Czym prędzej wystawiła nogi za drzwi i zeskoczyła. Matt złapał ją i zamachał do Andy'ego, by odsunął się, kiedy będą przygotowywać chorego do transportu. Sharon odetchnęła.

- Wreszcie słyszę własne myśli. Uśmiechnął się, przymocowując rannego.

- Nie powiedziałaś tak, gdyby Andy nas tu zostawił.

- Z pewnością. - Spojrzała na schowane we mgle wierzchołki. - Co ludzi ciągnie do wspinaczki? Nie pojmuję tego.

- Wyzwanie, dreszczyk, jaki czujesz, kiedy sobie uświadamiasz, że wygrałaś z sobą i z przyrodą. - Uśmiechnął się, widząc jej zdziwienie. - Wspinałem się podczas studiów.

- Naprawdę? Nie przyszłoby mi do głowy, że lubisz niebezpieczne sporty.

- Dlatego, że wymądrzałem się na temat ryzyka? - Przytaknęła, a on wzruszył ramionami. - Brałem w tym udział, zanim musiałem zaopiekować się Jess.

Zamknął, ale to jej wystarczyło. Odpowiedzialność za dziecko wymusiła na nim mnóstwo zmian i przewartościowań. Jeszcze raz uderzyło ją, jak wiele musiał porzucić, choć on zapewne inaczej na to patrzył.

Teraz musieli jednak zająć się rannym. Matt odkrył, że mężczyzna ma złamaną miednicę, unieruchomił więc starannie dolną część jego ciała, by zapobiec wewnętrznym uszkodzeniom. Na pokładzie czekała kropłówka.

Bezpieczne umieszczenie rannego w helikopterze wymagało sporo fizycznego wysiłku i znakomitego pilota. Kiedy skierowali się czym prędzej do szpitala, Andy aktorskim gestem otarł pot z czoła.

- Ależ jazda! Oby dalej było trochę przyjemniej. Przydałaby mi się teraz mała przerwa!

- Spisałeś się genialnie - szczerze pochwalił go Matt. - Gdyby nie ty, nie ściągnęlibyśmy go stamtąd.

- Wykonuję tylko swoją pracę - sprzeciwił się pilot. Sharon śmiała się.

- Różnie z tym bywa! Nie bądź taki skromny - rzekła ciepło i zauważyła cierpkie spojrzenie Matta.

Odwróciła się, by sprawdzić kropłóvkę. Matt jest zazdrosny! Nie, to niemożliwe. Nie mogła jednak pozbyć się tej myśli. W międzyczasie ranny odzyskał przytomność, ale niewiele pamiętał. Matt przekazał mu to, czego się dowiedział, i zapewnił, że przyjaciel czuje się dobrze.

Sharon zauważyła, jak łatwo uspokoił pacjenta. Posiadał autorytet, działał kojąco na ludzi. Był lekarzem z powołania, a do tego fantastycznym ojcem. Gdyby jeszcze nie był tak surowy dla siebie i przyznał, że ma inne potrzeby! A może ona zbyt wiele oczekuje?

Zaraz po powrocie wezwano ich ponownie. Szczęśliwie, tym razem obyło się bez większych problemów, bo mieli do czynienia z typowym wypadkiem drogowym. Odtransportowali rannego motocyklistę do szpitala i przez resztę dnia mieli spokój. Mike zaprosił ją po pracy na drinka, lecz mu odmówiła, bojąc się, że go tym urazi.

Przez kilka godzin tłukła się po domu jak niespokojny duch. Nie znalazła nic ciekawego w telewizji, nie chciało jej się czytać. W końcu wybrała się na spacer, bo wydało jej się to lepszym rozwiązaniem niż samotne ślęczenie w czterech ścianach. Uświadomiła sobie tym samym, że powinna zadbać o swoje życie towarzyskie. Nie może przecież zamknąć się w domu na resztę życia.

W okolicy, w której mieszkała, był park. Wieczór był ciepły i spacerowało tam jeszcze sporo osób, korzystając z ładnej pogody. Spacerowali w większości parami, ramię w ramię, często trzymając się za ręce.

Sharon zawstydzila się swojej samotności, przyspieszyła więc kroku, kierując się w stronę stawu w centrum parku. W letnie wieczory całymi rodzinami chodzono tam karmić kaczki. Pomyślała, że nad stawem łatwiej schowa się w tłumie.

- Sharon! Sharon!

Odwróciła się i zobaczyła machającą ręką Jessikę. Pomachała i podniosła wzrok na mężczyznę, który pchał wózek. Gdyby miała kogoś takiego jak Matt i Jess, nigdy nie czułaby się samotna. Czy tego właśnie brakuje w jej życiu? Mężczyzny i dziecka? Czy może tego szczególnego mężczyzny, którego dzieckiem pragnęła się zaopiekować?

Nie była pewna odpowiedzi, a nie było sensu się ludzić.

- Myślałam już, że mnie nigdy nie usłyszysz! Wołałam i wołałam, prawda, tatusiu?

Sharon postarała się o pogodny wyraz twarzy.

- Przepraszam. Chyba mam watę w uszach. Jessica zachichotała.

- Ale śmieszne powiedzenie. Sharon też się roześmiała.

- Mój ojciec tak mówił. Ciągle mi powtarzał, że mam watę w uszach, bo chodziłam wciąż zamyślona.

- To tak jak ja. Tatuś nazywa mnie Śpiącą Królową.

- Znakomicie do ciebie pasuje - oznajmił Matt. - Ta mała dama większość czasu buja w obłokach. Chyba że trzeba wymigać się od obowiązków. Zaraz, no właśnie, czemu wcześniej o tym nie pomyślałem...

- Ja dzisiaj pozmywałam! - odbiła prędko piłeczkę. - Pozmywałam i powycierałam.

Sharon z radością słuchała tej wymiany zdań. Ojciec i córka byli w świetnych stosunkach. Każde dziecko marzyłoby o takim ojcu. Nagle zobaczyła oczami wyobraźnie maleńką istotkę, z jej rudawymi włosami i jego zielonymi oczami z firanką rzęs. Głęboko westchnęła.

- Dobrze się czujesz?

Zaczerwieniła się. Z przejęcia robiło jej się na przemian gorąco i zimno.

- Tak, dziękuję. - Nie pozwoliła mu na dalsze pytania, zwróciła się do Jessiki: - A wy co tu robicie? Nie powinnaś być o tej porze w łóżku?

- Jutro nie ma szkoły - wyjaśniła dziewczynka. - Zaczęły się wakacje, sześć tygodni łaby!

- Szczęściara! - uśmiechnęła się Sharon i zdała sobie sprawę, że choć dla Jess zbliżał się wspaniały okres, dla jej ojca to problem.

- Matt, jak dasz sobie radę? Opiekunka zostanie dłużej?

- Przyjadą moi rodzice. Kilka lat temu przeprowadzili się do Hiszpanii, ale w lecie im tam za gorąco. Wynajmują tu dom i spędzają z nami dwa miesiące.

- To wspaniale! To ci wiele ułatwia - odparła.

- Babcia i dziadek powiedzieli, że mogę do nich pojechać w przerwie semestralnej - piszczała Jess. - Mają basen w swojej willi i dziadek obiecał, że nauczy mnie pływać.

- Jeszcze nic nie jest postanowione - rzekł stanowczo Matt. - Żebyś się nie rozczarowała.

Sharon milczała. Zauważyła, że Jess natychmiast się zasmuciła. Była ciekawa, czy pobyt małej u dziadków Matt także uważa za zrzucanie odpowiedzialności na czyjeś barki?

Jess na szczęście szybko odzyskała humor. Wyciągnęła papierową torebkę i spytała, wskazując na staw:

- Pójdziemy teraz karmić kaczki?

- Oczywiście. - Matt odwrócił wózek i zatrzymał się. - Miło było cię spotkać, Sharon... - zaczął, lecz Jess natychmiast weszła mu w słowo.

- Nie idziesz z nami? Mam mnóstwo chleba. Zobacz! - Otworzyła torebkę, by pokazać pokrojony cienko chleb, i spojrzała znacząco na ojca. - Tatusiu, poproś Sharon, żeby z nami poszła.

- Zrobisz nam wielką przyjemność - rzekł Matt, wykrzywiając twarz w uśmiechu. - Ale naprawdę nie czuj się zobowiązana. Rzucanie chleba kaczkom to niezbyt wyrafinowana rozrywka.

Przewrócił oczami. Roześmiała się.

- Zależy. Moje życie towarzyskie nie jest pasmem nie kończących się imprez/karmienie kaczek wydaje się zatem bardzo atrakcyjną odmianą. W każdym razie bije na głowę samotne gapienie się w telewizor.

Potrząsnął głową, ale jego uśmiech był ciepły.

- Uważaj, bo się rozplączę! A twoje życie towarzyskie z pewnością nabierze impetu, jak tylko świat dowie się, że jesteś znów do wzięcia. No ale z braku innych ofert w tej chwili, bardzo proszę, żebyś do nas dołączyła. Karmienie kaczek ma dla mnie działanie terapeutyczne. Jest dużo mniej stresujące niż konieczność podtrzymywania konwersacji na tych wszystkich bankietach, które czekają cię w przyszłości.

Sharon omal się nie udławiła ze śmiechu.

- Wydaje mi się, że te słowa płyną prosto z serca.

- Bo to prawda. - Matt zatrzymał wózek nad stawem i włączył hamulec. Jessica zaczęła karmić kaczki. - Uczestniczyłem w niezliczonej ilości takich przyjęć, głównie dla zebrania funduszy, kiedy pracowałem w Royal. I tego aspektu tamtej pracy w ogóle mi nie żal. Nie ma nic gorszego, niż kiedy musisz sączyć słodkie sherry, zagryzać to vol-au-vent i prowadzić błyskotliwy dialog z nieznanym. Tortury. Czyste, ciężkostrawne tortury.

- Przestań! - Sharon płakała ze śmiechu.

- Gdzie oni znajdują tę sherry? Jest zawsze tak samo obrzydliwa. Podają ją w butelkach z różnymi naklejkami, a smakuje jednakowo. Myślisz, że jest specjalnie rozlewana dla służby zdrowia? Muszą mieć jakąś winnicę w Hiszpanii, gdzie przyklejają etykiety: Tylko dla służby zdrowia. Żeby nikt inny nie śmiał tego dotknąć. - Gdy śmiał się, w jego oczach igrały zabawne iskierki. Ten beztroski, radosny mężczyzna, jakim bywał, zapierał jej dech.

Podobało jej się, że dostrzega śmieszności życia i potrafi z nich żartować, a także że z powagą traktuje to, co na tę powagę zasługuje. Kochał i lubił to, co robi, i miał przed sobą przyszłość. Kiedyś. W dniu wypadku to wszystko mu zabrano.

Tak bardzo pragnęła go przekonać, że może być znów szczęśliwy, że przyszłość wciąż stoi przed nim otworem. Gdyby jej się udało, to...

To co?

Jakie ma nadzieje? Czyżby spodziewała się, że Matt ją pokocha i będą żyli razem szczęśliwie jak bohaterowie bajek?

Schylił się, by podnieść kawałek chleba upuszczony przez córkę. Zawiesiła na nim wzrok, jej serce boleśnie zabiło.

To idiotyczne.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Skończyło się!

Jessica opróżniła torebkę i westchnęła, przyglądając się, jak kaczki kręcą się na wodzie.

- Chyba się nie najadły, tatusiu. Szkoda, że nie przynieśliśmy więcej.

- Gdyby zjadły więcej, nie mogłyby się ruszyć! Patrz, tamta ledwo trzyma się na wodzie, tak się napchała. - Wskazał na ładną, zielonogłową kaczkę, a Jess parsknęła śmiechem.

- Wyglupiasz się, tatusiu!

- A ty, panno mądralińska, powinnaś być już w łóżku! - Pochylił się i przytulił do policzka dziewczynki, a ona zapiszczała. - Przepraszam, czyżbym drapał? Chyba muszę się ogolić.

Cień zarostu nadawał mu łobuzerski wygląd, zwłaszcza że wiatr burzył mu włosy. W pracy Matt był nienaganny pod tym względem, taki widok był więc dość rzadki i poruszył zmysły Sharon.

- Ubrudziłem się? - spytał szorując dłonią policzek, kiedy przychwycił na sobie jej wzrok.

- Nie, nie. Ja... zamyśliłam się. - Znalazła szybko wyjście z niezręcznej sytuacji. Włożyła wcześniej wiele trudu w to, by skończyć z fantazjowaniem, nie mogła więc teraz bezmyślnie do tego wrócić.

Matt odwrócił wózek od stawu i ruszył przed siebie. Park gwałtownie opustoszał w ciągu minionej półgodziny, spotykali po drodze pojedynczych spacerowiczów. Na rozstaju Matt przystanął i ściągnął brwi, zobaczywszy, jak ciemna jest ścieżka, którą powinna wracać Sharon.

- Wolałbym, żebyś nie szła sama. Daleko stąd do ciebie?

- Niedaleko - odparła. - Dam sobie radę.

Zerknął powtórnie w głąb mrocznej dróżki i pokręcił głową.

- Odprowadzimy cię. Byłbym niespokojny...

- Pójdziemy do domu Sharon, tatusiu? - spytała Jessica, klaszcząc w dłonie, gdy przytaknął. - Ale fajnie! Strasznie jestem ciekawa, jak tam jest? Wszystkim w szkole o tobie powiedziałam!

Sharon wzruszył entuzjazm dziewczynki. Rzuciła spojrzenie na Matta i ze zdumieniem zobaczyła, że spoważniał. Milczał jednak, więc o nic nie pytała.

Wkrótce dotarli do jej parterowego domku. Jessica całą drogę żywo rozmawiała, Matt mówił niewiele. Coś wyraźnie nie dawało mu spokoju. Kiedy Jess zapragnęła zobaczyć wewnątrz domku, Sharon była zdezorientowana.

Ostatecznie nie mogła jednak odmówić tylko dlatego, że Matt ma coś przeciw temu, zwłaszcza że głośno nie protestował.

- Oczywiście, że tak, kochanie! - zapewniła, unikając wzroku Matta, gdy otwierała drzwi. - Napijesz się czegoś? A może masz apetyt na ciasto? Upiekłam biszkopt na weekend i trochę jeszcze zostało.

- O tak! Proszę!

Sharon otworzyła drzwi najszerzej, jak to możliwe. Matt wwiózł Jess do środka, ale w przedpokoju radziła już sobie sama. Jeździła z pokoju do pokoju, wykrzykując w podnieceniu.

- Ale tu fajnie! - oceniła. - Mogę pojechać do jadalni, do kuchni, do łazienki i do sypialni! I nigdzie nie ma schodów!

Sharon śmiała się.

- To prawda. Mój ojciec nie mógł chodzić po schodach, kiedy zachorował, dlatego się tu przeprowadziliśmy. Za to u siebie masz windę.

- No tak, ale nie jeżdżę nią sama - tłumaczyła Jessica, nie użalając się bynajmniej nad sobą. - Tu jest lepiej, bo gdybym tu mieszkała, nikt by mi nie musiał pomagać. Wtedy byłabym taka jak inni, prawda?

Sharon nie była pewna, co powiedzieć. Spojrzała na Matta, który siedział z niezadowoloną miną. Widać nie spodziewał się takiego komentarza.

- No to czego się napijesz? - spytała Sharon, dyplomatycznie zmieniając temat. - Co wolisz? Mleko czy sok?

Poszła do kuchni, a Jessica ruszyła za nią na wózk, nie przestając mówić. Nalała mleko, ukroiła ciasto i odwróciła się do Matta.

- Kawy?

- Jeśli to możliwe, ale nie rób sobie kłopotu - odparł. Jessica szybko uporała się z poczęstunkiem i zapytała, czy mogłaby obejrzeć w telewizji swój ulubiony program. Sharon zgodziła się bez słowa, z uśmiechem patrząc, jak dziewczynka szusuje do pokoju.

- Naprawdę świetnie sobie radzi. To zawsze jakaś drobna pociecha, że choroba jej nie-załamuje.

- Tak, chociaż czasami, kiedy nie może zrobić czegoś sama, okropnie się złości.

Sharon wyłączyła czajnik.

- Myślisz o windzie?

- Tak. Nie miałem pojęcia, że czekanie na pomoc jest dla niej męczące.

- Nie możesz myśleć o wszystkim, Matt - zauważyła, widząc jego zdziwienie. - Mam wrażenie, że próbujesz przewidzieć wszelkie problemy, na

jakie Jess może się natknąć. To zresztą zrozumiałe, ale jeżeli coś przeoczysz, nie wolno ci się obwiniać.

- Pewnie masz rację. - Miał smutne oczy. - Tylko czuję, że jestem jej to dłużny.

- Bo wciąż winisz się za jej stan? - Potrząsnęła głową. - Kiedy wreszcie zaakceptujesz, że tak nie jest? To był wypadek i nie masz z tym nic wspólnego.

- Część mnie zgadza się z tym. Inna... - Uniósł do góry ramiona.

- Przyjdzie czas, kiedy będziesz musiał sobie powiedzieć, że więcej nie da się zrobić - zauważyła cicho, podnosząc czajnik. - Przyjdzie czas, kiedy Jess zechce zacząć życie na własny rachunek i będziesz musiał jej na to pozwolić.

- Myślisz, że nie wiem? - Był trochę zły. Popatrzyła na niego skonsternowana.

- Jasne, że wiesz. Nie chciałam się wtrącać - odparła sztywno. - Wybacz, jeśli tak to wyglądało.

- To ja powinienem przeprosić. Zachowuję się jak... - Wziął od niej filiżankę. - Sam wiem, że choćbym nie wiem jak się starał, nie zapewnię jej wszystkiego.

W jego głosie brzmiało cierpienie. Wiedziała, że myślał o żonie i o tym, co dałaby dziecku.

- Trudno o lepszego ojca, Matt. Podziwiam cię, robisz więcej niż to możliwe.

- Co nie zmienia faktu, że... - spojrzał na ciasto, które Sharon postawiła na stole - nie potrafię piec!

Zaśmiała się, jak oczekiwał, choć jego ciągle zadreczanie się wcale jej nie cieszyło. Postanowiła podtrzymać żartobliwy ton.

- W dzisiejszych czasach to chyba politycznie niepoprawne uczyć dziewczynkę pieczenia ciasta?

- Chyba tak, ale w normalnym świecie małe dziewczynki bardzo chcą się nauczyć piec i szyc. Chłopcy też może to lubią, ale jako ojciec córki nie jestem tu autorytetem. W każdym razie moje umiejętności w tym względzie są ubogie.

- No to poproś kogoś. - Na końcu języka miała już, że sama się tym zajmie, lecz perspektywa odmowy jakoś ją zniechęciła. - Na przykład twoją matkę.

Wybuchnął śmiechem.

- Nie znasz jej! Ci wszyscy politycznie poprawni przyjęliby ją z otwartymi ramionami! Ona uważa, że życie jest za krótkie, żeby spędzać je w kuchni. Dobrze, że moi rodzice są wystarczająco zamożni i stać ich na gosposię. Inaczej padlibyśmy z głodu!

- O, to rozmawiam z przedstawicielem klasy uprzywilejowanej? Gospoś, no no! - drażniła się z nim.

- O jakich przywilejach mówisz? Wiesz, jaki szok przeżyłem na studiach, kiedy musiałem nauczyć się gotować? Potrafię zrobić jakieś podstawowe rzeczy, więc sobie radzimy, ale jeśli chodzi o co innego...

- Mogłabym nauczyć Jessicę piec, jeśli nie masz nic przeciwko temu. - Jednak nie wytrzymała!

- A ja nie mogę na to pozwolić. Nie ma powodu, żebyś traciła czas z moją córką.

- To żadna strata czasu! - zaproponowała. - Zrobię to z przyjemnością. Lubię Jess i ona chyba też mnie akceptuje.

- Nie przestaje o tobie mówić od czasu naszego wspólnego wyjścia do kina.

- Ale? Usłyszałam na końcu jakieś ale, Matt...

- Ale ja nie chcę, żeby się do ciebie za bardzo przywiązała. - Uniósł wzrok. Bezbłędnie odgadła, że to postanowione i nie ma szansy, by to zmienić. - Jessica dość już przeszła, nie chcę, żeby znowu cierpiała. Wiem, Sharon, że masz dobre chęci, doceniam to. Niemniej masz swoje życie.

Mocno ją zranił. Zatopiła wzrok w filiżance kawy. Nie była taka głupia, by nie wiedzieć, że Jessica jest tylko wymówką. Chodziło o nią. Zapadła krępująca cisza.

Powrót Jess wybawił ich z opresji. Matt szybko dopił kawę i podniósł się.

- Pójdziemy już - oświadczył grzecznie. - Dziękujemy za kawę i całą resztę.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła równie uprzejmie. - Dziękuję za odprowadzenie.

- Bardzo proszę.

Nutka zniecierpliwienia zabrzmiała w jego głosie, gdy ciągnął tę grę w dobre maniere. Nie dociekała, z jakiego powodu. Odprowadziła ich do drzwi, Jessica poprosiła o pożegnalnego całusa. Ze łzami w oczach Sharon objęła dziewczynkę i uściskała ją. Nie pozwoliła jednak łzom popłynąć. To niczego by nie zmieniło.

Resztę wieczoru przesiedziała przed telewizorem, skupiając się na skomplikowanej fabule filmu. Przecież to nie koniec świata, będzie żyła dalej. Zapomni o Matthew i jego córce. Nie będzie się mazać.

Jakie to wszystko zdawało się teoretycznie proste! Skądś przyplątała się jednak obawa, że rzeczywistość nie dostosuje się do owej teorii. Jeśli nawet nie było dla niej miejsca w życiu Matta, on zajmował w jej życiu coraz większą przestrzeń.

Kolejne dwa tygodnie przeleciały piorunem, wypełnione zajęciami po brzegi w pracy i po godzinach. Zdecydowana odbudować swe życie towarzyskie, Sharon obdzwoniła znajomych i w rezultacie otrzymała moc zaproszeń. Każdą wolną chwilę spędzała gdzie indziej. Zawsze to lepsze niż samotne rozpamiętywanie emocjonalnej porażki.

W sobotni wieczór dalsi znajomi urządzili prywatkę. Kilka osób widziało podobiznę Sharon w gazecie, musiała zatem opowiadać o swojej nowej pracy. Zwłaszcza jeden z mężczyzn był ogromnie zainteresowany, doszła zresztą do wniosku, że to ona, a nie jej zajęcie, wzbudziło tę ciekawość.

Odpowiadała na jego zachwyty skrupulatnie, lecz bez zapału, a kiedy zaproponował wspólną kolację w następnym tygodniu, uprzejmie odmówiła. Cóż, był miły, ale nic nie zaiskrzyło. Nie wytrzymał porównania z Mattem.

Zamiast jednak rozwodzić się nad tym niepokojącym wnioskiem, wmawiała sobie, że dobrze się bawi, i by to sobie udowodnić, została do końca. W konsekwencji następnego dnia w pracy pękała jej głowa.

- Ktoś tu się nie wyspał - skomentował Mike, zauważywszy, jak Sharon osuwa się na krzesło.

- I bardzo tego żałuje. - Skrzywiła się z bólu, kiedy Andy trzasnął drzwiami.

- Nie rób tak. W głowie mi huczy.

- Wiem, czego ci trzeba. Wujek Andy ma wypróbowane lekarstwo na kaca - stwierdził pilot. - Gwarantuję, że natychmiast postawi cię na nogi.

Nie miała nawet siły tłumaczyć, że ból spowodowany jest tylko potwornym zmęczeniem. Na przyjęciach zawsze ograniczała się do kieliszka wina, przestając raczej na toniku. Ale kto by jej uwierzył?

- Bądź aniołem i przygotuj mi - poprosiła.

- Już się robi! - Andy znalazł w szafce wszystko, co trzeba. Po chwili podał jej szklanekę pieniącego się płynu. - Do dna.

Sharon przyjrzała się miksturze podejrzliwie, zamknęła oczy i łyknęła jednym haustem, po czym przeraźliwie się skrzywiła.

- Absolutnie obrzydliwe!

- Za to sprawia cuda - odparł Andy. Przywitał uśmiechem wchodzącego do pokoju Matta. - O, następny klient. Wybacz, ale wyglądasz jak chodząca śmierć. Czy mogę spytać, co się wydarzyło? - Pilot rzucił rozbawione spojrzenie na Sharon. - Czy to retoryczne pytanie?

Sharon poczuła, jak palą ją policzki. Natychmiast uświadomiła sobie, co Andy ma na myśli. Nie śmiała spojrzeć na Matta. Pomyślałaby jeszcze, że sugerowała w jakikolwiek sposób, iż poprzednią noc spędzili razem.

- Cierpię na bezsenność. Przykro mi, że cię rozczarowałem - rzucił krótko Matt. Uniósł dłoń z kartką papieru, ucinając dyskusję. - Dostałem faks od naszych władz. Są gotowi wziąć pod uwagę naszą prośbę o drugi helikopter. Pomyślałem, że to was ucieszy.

- Jasne! - odparł Andy. - To by mnóstwo zmieniło.

- Z pewnością - zgodził się Matt. - Beth Maguire powiedziała mi, że musieli wczoraj komuś odmówić, bo byli akurat zajęci wypadkiem na drodze. Gdybyśmy dysponowali dwoma maszynami, nie byłoby takich dylematów.

- A co się stało? - spytała Sharon. Starła się zignorować jego chłodne spojrzenie, taksujące jej zmęczoną twarz. - To znaczy, dokąd nie zdążyli?

- Nie wiem. Pojechała tam normalna karetka.

Odwrócił się jeszcze do Mike'a i wyszedł, nie odzywając się do niej więcej. Głowę by dała, że był na nią zły.

Nic nowego. Z westchnieniem wstała zrobić sobie kawę.

To był jeden z tych rzadkich dni, kiedy nic się nie działo. Żadnych wezwań do wczesnego popołudnia, kiedy to zwołał ich do siebie Matt. Jedno spojrzenie wystarczyło Sharon, by wiedzieć, że sprawa jest nadzwyczajnej wagi.

- Mamy pilne wezwanie na platformę wiertniczą zakotwiczoną na Morzu Północnym. Na pokładzie jest dwóch chorych z gorączką niewiadomego pochodzenia. Są w dość kiepskim stanie.

- Sądzilem, że mają tam lekarzy? - zdziwił się Mike.

- Ich lekarz poleciał wczoraj na pogrzeb do Irlandii. Spółka naftowa pyta, czy moglibyśmy się tym zająć. - Zerknął na Roya Price'a. - Wiem, że zastępujesz Bertę, ale jeśli mamy zabrać pacjentów, Sharon i ja zajmujemy się wszystkim. Nie mamy dość miejsca.

Roy przytaknął w milczeniu, a Matt kontynuował:

- Jest jednak pewien kłopot. Nad Morzem Północnym buduje się front atmosferyczny. Według najnowszych prognoz zdążymy akurat dolecieć, zabrać chorych i wrócić. Trzymam kciuki, żeby to była prawda. Tak czy owak, musimy się spieszyć.

Nie musiał mówić nic więcej. Wszyscy wiedzieli, czym grozi sztorm. Bez słowa popędzili w stronę helikoptera. Andy w rekordowym tempie ustalił trasę i już po chwili lecieli nad Humberside. Ciężkie chmury wisiały nad horyzontem i gdy tylko znaleźli się nad wodą, Sharon dojrzała burzące się fale. Nie wiedziała nawet, kiedy zaczęła się modlić o szczęśliwy powrót.

- Zdążymy, zobaczysz.

Matt mówił tak przekonująco, że przestała się lękać. U jego boku zniesie wszystko...

- Odkąd opuściłem nasze siły powietrzne, nie lądowałem na czymś takim - przyznał Andy, kiedy nadlecieli nad platformę.

- Miejmy nadzieję, że nie zgubiłem po drodze mojego magicznego wyczucia.

Sharon miała wielką nadzieję. Platforma z góry wydawała się taka mała na nieogarnionej przestrzeni morza. Trudno było uwierzyć, że na tej metalowej konstrukcji żyją i pracują dziesiątki ludzi. Sharon powstrzymała oddech, gdy zniżyli się do lądowania. Silne porywy wiatru nie ułatwiały im tego. Głośno odetchnęła, gdy dotknęli podłoża, zarabiając na pełne wyrzutu spojrzenie Andy'ego.

- Och ty, kobieto małej wiary! Przypomnij mi, żebym nie prosił cię o referencje.

- Wybacz. - Posłała mu przepraszający uśmiech. - Nie wątpię w twoje fantastyczne możliwości, ale wieje jak diabli.

- Fakt - przyznał Matt, nie dając pilotowi odpowiedzieć.

- Dlatego nie traćmy czasu.

Otworzył prędko drzwi. Andy dał jej znak. Widziała, że zaskoczyła go szorstkość Matta, który co chwilę zmieniał nastrój - to był troskliwy, to opryskliwy. Cóż zatem dziwnego, że czuła się w tym zagubiona?

- Witajcie! Jestem Frank Cassidy, odpowiadam za tę platformę. Cieszę się, że wam się udało.

Sharon obdarzyła siwowłosego mężczyznę niezdecydowanym uśmiechem.

- Jeszcze nie wiem, czy jest się z czego cieszyć. Frank roześmiał się.

- Tak,, trzeba się do tego przyzwyczaić. Ale chodźmy, nie stójmy na tej wicherze.

Ruszyli ku metalowym schodkom, które prowadziły do części mieszkalnej. Matt szedł na końcu. Frank wprowadził ich do pomieszczenia, które wyglądało na biuro, i zamknął drzwi.

- Tu przynajmniej słyhać własne myśli. Przede wszystkim jestem wam ogromnie wdzięczny. Mamy już trzecią ofiarę, a wszyscy czują się źle.

- Matt Dempster, jestem lekarzem koordynującym, a to Sharon Lennard, nasza pielęgniarka - przedstawił Matt. - Czy wszyscy trzej chorzy mają takie same objawy?

- Podobne. Dwóch zachorowało wczoraj i oni są w gorszym stanie, ale na dziewięćdziesiąt dziewięć procent to jest to samo - wyjaśniał Frank. - I akurat pech, że doktor Martindale wyjechał.

- Prawdziwy pech - zgodził się Matt. - Lepiej chodźmy ich zobaczyć. Jeśli trzeba będzie przewieźć ich do szpitala, musimy się spieszyć. Niestety, mamy tylko dwa miejsca dla chorych. Obawiam się, że trzeba będzie w razie czego wrócić po trzeciego pacjenta.

- Rozumiem. Sprowadzę państwa na dół, zatrudniłem jednego z moich ludzi jako pielęgniarkę. - Frank mrugnął do Sharon. - Pani widok ucieszy chłopaków, nawet w tym stanie. Gary nie bardzo nadaje się na anioła opiekuńczego - żartował, choć było jasne, że los kolegów go martwił.

Przez ciąg korytarzy dotarli do pomieszczenia dla chorych. Były to dwie pomalowane na biało kabiny wyposażone w szpitalne łóżka.

Gary występujący w roli pielęgniarza był szpakowatym mężczyzną po czterdziestce, z krzaczastą siwą brodą i szerokimi barami, których mógł mu pozazdrościć gracz w rugby. Sharon omal nie stęknęła z bólu, gdy na powitanie uściśnął jej dłoń. Matt podszedł do pierwszego łóżka.

- Doktor Matthew Dempster z Pogotowia Lotniczego. Może mi pan powiedzieć, kiedy poczuł się pan źle?

- Przedwczoraj. - Młody mężczyzna mówił z wyraźnym australijskim akcentem. Mimo opalenizny wyglądał blado. - Najpierw mnie złapała potworna gorączka. Myślałem, że się spalę, serio. Potem dostałem dreszczy i głowę mi rozsadzało. A jakby tego było mało, wyskoczyły mi wszędzie te guzy. Bola jak diabli.

- Rozumiem. - Matt zwrócił się do Sharon z poważną miną. - Podaj mi rękawiczki, proszę. Sama też nałóż.

Posłuchała go, przypatrując się, jak uważnie bada pacjenta. Szczególnie starannie badał owalne zaczerwienione zgrubienie na jego szyi. Skóra wokół tego była pociemniała i jakby posiniaczona.

- Muszę teraz sprawdzić w pachwinie i pod pachami - informował Matt, odsuwając kołdrę.

Na całym ciele chorego widać było podobne guzy. Sharon nigdy dotąd nie zetknęła się z czymś takim, nie miała więc pojęcia, co to jest.

Matt przykrył pacjenta i zdjął rękawiczki, wyrzucając je do plastikowego pojemnika obok łóżka. Zastąpił je nową parą, przechodząc do drugiego chorego. Było jasne, że diagnoza go zmartwiła. Napięcie rosło, kiedy zajął się trzecim mężczyzną, u którego wykrył te same symptomy.

- Wszyscy dostaniecie tetracyklinę - oświadczył, zerkając na Sharon, która niezwłocznie przygotowała zastrzyki. Ani na chwilę nie zapomniał o ochronnych rękawiczkach.

- Co to jest, doktorze? Niech pan nam powie. Australijczyk próbował się uśmiechnąć z wysiłkiem. Dwaj pozostali ograniczyli się do odpowiedzi na pytania Matta. Sharon podejrzewała, że po prostu nie mieli siły mówić.

- Obawiam się, że trąd - odparł zdecydowanie. Sharon oniemiała.

- Trąd... teraz? To niewiarygodne.

- A jednak. W wielu częściach świata to do dzisiaj poważny problem. - Spojrzał na Australijczyka, który zbladł jeszcze bardziej. - Nie wiem, jak się zaraziście, ale jestem prawie pewny diagnozy.

- Chryste, doktorze! Wie pan, jak dołożyć leżącemu. I co będzie? W szpitalu chyba sobie z tym poradzą?

- Tak - potwierdził Matt. - Antybiotyki są bardzo skuteczne w tym wypadku, dlatego zaaplikowałem wam tetracyklinę. Niestety, w tej chwili nie mogę was zabrać. Zanim was ruszymy, muszę poczynić pewne przygotowania.

- Jakie? - Sharon kompletnie zaschło w ustach. O trądzie wiedziała tylko tyle, że przed wiekami zabił miliony ludzi.

- Trąd wymaga kwarantanny. Muszę najpierw zawiadomić szpital, żeby przygotowali się na wasz przyjazd. - Zamilkł, a Sharon czekała na dalszy ciąg bez tchu. - To także znaczy, że każdy, kto miał z wami kontakt, musi zostać odosobniony. Nikt nie może opuścić tego miejsca przed zakończeniem odpowiednich procedur.

- Chcesz powiedzieć, że my też musimy tu zostać? Ale jak długo? - pytała, na wpół przytomna.

- Tak długo, jak będzie to konieczne, obawiam się. Na pewno nie ruszymy się stąd przed sztormem. Prawdopodobnie więc dopiero rano.

Sharon nie przychodziły do głowy żadne słowa. Wstrząs był zbyt potężny. Patrzyła wokół i widziała tylko osłupiałe miny. Nabrała głęboko powietrza, ale to nic nie pomogło. Czekala ją noc na platformie wiertniczej w samym środku sztormu.

Spróbowała pomyśleć o tym inaczej. Czekala ją noc na platformie wiertniczej z Mattem!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Andy wrócił szczęśliwie. Zadzwonili po Beth i Roya, zastąpią nas do końca zmiany - poinformował Matt.

- Tak - bąknęła załamana Sharon.

- Wiem, co czujesz. - Spochmurniał. - Ale nic na to nie poradzimy. Jesteśmy tu uwięzieni, musimy po prostu to przetrzymać.

- Tak, tylko chyba wciąż nie otrząsnęłam się z szoku - odparła. Przez ostatnią godzinę próbowała pogodzić się z niespodziewanym obrotem sprawy. Pragnęła z całych sił zachowywać się profesjonalnie. I nie była to nawet kwestia konieczności przebywania z Mattem.

Rozejrzała się po pomieszczeniu dla chorych, przyrzekając sobie, że skoncentruje się na pracy. Pacjentów zmorzył mocny sen, Gary siedział na fotelu, nad jakimś niezbyt zachęcająco wyglądającym czytadłem. Frank poszedł skontaktować się ze swymi szefami i złożyć im meldunek. Gdyby cała załoga platformy musiała przejść kwarantannę, byłby to nie lada problem dla firmy naftowej. Przepisy są jednak bezwzględne.

- Nic dziwnego - zauważył Matt, pociągając ją ku drzwiom. Dokończył, kiedy znaleźli się na korytarzu. - Czuję się tak jak ty. Nie wierzyłem własnym oczom, kiedy zobaczyłem ten guz na szyi Sandy'ego.

- Szybko to rozpoznałeś. Skąd tak dobrze znasz objawy? U nas chyba nieczęsto stykamy się z trędem?

- Na szczęście nie. Po studiach miałem praktykę w Indiach Tam trąd to wciąż codzienność, mimo to przeżyłem szok, spotykając się z trędem na środku Morza Północnego!

- Zastanawiam się tylko, gdzie się zarazili?

- Zdaje się, że ta trójka akurat wróciła z urlopu. Byli u rodziców Lee w Kalifornii - wyjaśnił.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że tam to złapali? - krzyknęła z niedowierzaniem.

- Czemu nie? Każdego roku notuje się w Stanach kito przypadków trądu. Nie wiem, czy dużo wiesz o tej chorobie - Kiedy pokręciła głowę, kontynuował: - Bakterie, które są za nią odpowiedzialne, znajduje się u gryzoni, a przenoszone są najczęściej przez ukąszenia owadów. Inaczej mówiąc, człowiek zostaje ukąszony przez owada, który najpierw ugryzł gryzonia noszącego w sobie chorobę. Z powodu czernienia skóry chorego, nazywano ją Czarną Śmiercią.

W czternastym wieku trąc zabił miliony ludzi. Wtedy przenosiły go szczury, dziś są to zazwyczaj koty domowe.

- Koty? Naprawdę?

- Tak. Łapią chorobę od zainfekowanych much albo gryzoni, a potem, liżąc czy drapiąc kogoś, przekazują ją dalej. Antybiotyki najnowszej generacji radzą sobie z trądem, nie ma więc bezpośredniego zagrożenia życia, jeśli choroba zostanie wykryta odpowiednio wcześnie.

- Obyś miał rację. - Zadrżała.

- Będziemy myśleć pozytywnie. Zrozumiano?

- Tak jest! - odparła z chwackim uśmiechem, który zamarz na jej ustach, kiedy zobaczyła, w jaki sposób Matt na nią patrzy

Przez chwilę spodziewała się, że coś powie, ale akurat wrócił do nich Frank.

- Rozmawiałem z dowództwem. Są więcej niż niezadowoleni. Mój szef kontaktował się z głównym lekarzem kraju, który wprowadził dla nas specjalną regulację: co nam wolno, a czego nie wolno robić.

- Taka sytuacja wymaga stanowczych kroków - rzekł Matt z emfazą. - Nie życzylibyśmy sobie, żeby to paskudztwo się rozprzestrzeniło.

- To właśnie powiedziałem szefowi. - Frank wzruszył ramionami. - W każdym razie spółka wysyła tu jutro zespół lekarzy i pielęgniarek. Każdy członek załogi ma profilaktycznie dostać antybiotyków. Wstrzymano urlopy. Lekarze zostaną tu dwa tygodnie, żeby byli pod ręką, gdyby znowu ktoś zachorował. Czy myśli pan, doktorze, że to się zdarzy?

- Nie sądzę. Najbardziej zakaźna jest infekcja płucna, która jest powikłaniem trądu, bo przenosi się drogą kropelkową, podczas oddychania. Szczęśliwie u żadnego z nich tego nie zauważyłem.

- Chociaż tyle dobrego. - Frank potrząsnął głową. - Ciagle nie mogę w to uwierzyć, ale chyba będę zmuszony. Aha, helikopter, który przywiezie lekarzy, zabierze was do szpitala. Mój szef rozmawiał z waszą bazą. Powiedzieli, że nie mogą ryzykować zakażenia waszej maszyny.

- I słusznie. Musielibyśmy ją odkażać, a jest nam potrzebna bez przerwy. Zdaje pan sobie sprawę, że pościel i wszystko, z czym mieli kontakt chorzy, trzeba wyrzucić - ostrzegł Matt.

- Tak przypuszczałem. Muszę dopisać prace domowe do moich obowiązków. Skoro już mowa o domu, mam dla was kabinę na dzisiejszą noc. Obawiam się, że będziecie musieli zmieścić się tam oboje, bo to jedyne wolne pomieszczenie. Pokażę wam, gdzie to jest.

Frank poprowadził ich korytarzem. Sharon zawahała się, zanim zrobiła pierwszy krok. Nie śmiała spojrzeć na Matta.

- To tutaj. Ritza nie przypomina, ale jest wszystko, co trzeba. Sharon natychmiast zobaczyła bliźniacze łóżka i prysznic

w jednym z rogów. Omal się nie zakrztusiła. Co za szczęście, że Frank nie oczekiwał od niej komentarza.

- Jadamy tu wcześniej, kolacja jest o szóstej. Przyjdźcie, jak będziecie gotowi. - Frank pomachał i zniknął.

Policzyła do dziesięciu i powoli podniosła wzrok na Matta. On jednak na nią nie patrzył. Dałaby wszystko, żeby poznać jego myśli, choć prawdopodobnie byłby to wielki błąd.

Jesteś w pracy, Sharon, przypomniawszy sobie i powtarzała to jak mantrę, jakby zależało od tego jej życie. Być może tak jest. Być może jej przyszłość zależy od tego, czy nie zapomni, że Matta obchodzi tylko praca zawodowa i córka.

- Spróbuję porozumieć się z Jess, żeby wiedziała, co się dzieje - powiedział.

Z trudem zdobyła się na przyjazny ton.

- Aha. Dobrze, że są twoi rodzice.

- Całe szczęście - zgodził się. Rozejrzał się jeszcze raz po kabinie. - Wiesz, nie potrzebuję na tę noc miejsca do spania. Zostanę z chorymi, żeby mieć na nich oko.

- Świetnie się składa - odparła niedbale. - Wezmę prysznic, jeśli nie jestem ci potrzebna. Zobaczymy się na kolacji.

Gdy odszedł, zamknęła drzwi i spojrzała na siebie w lustrze. No i koniec z zachowywaniem twarzy! Matt ewidentnie nie ma ochoty wystawiać ani jej, ani siebie na próbę!

Jadalnia była pełna mężczyzn. Wiadomość o obecności Sharon rozeszła się lotem błyskawicy, toteż wszystkie głowy skierowały się w jej stronę, gdy tylko stanęła w drzwiach. Zawahała się, zmieszana. Matt przyszedł jej na ratunek.

- Siedzimy tam, z Frankiem. Idę do bufetu sprawdzić, co tu dają. Pójdiesz ze mną?

- Tak. - Była mu wdzięczna. - Chyba za bardzo się tu wyróżniam.

Rozbawiło go to.

- Nawet wiem, dlaczego. Nie możesz być na nich zła, że się patrzą. Nie co dzień mają okazję oglądać w swoim gronie piękną kobietę. Pewnie myślą, że to już Boże Narodzenie!

Śmiała się głośno.

- Wielkie dzięki!

Podeszli razem do lady i wzięli tace. Menu było bogate, z łatwością znalazła coś dla siebie. Pierś kurczaka w sosie grzybowym i świeże warzywa wkrótce znalazły się na jej talerzu. Wzięła jeszcze butelkę wody mineralnej i sztucce i powędrowała za Mattem do stolika.

Frank przywitał ją, skrepowany:

- Przepraszam za tych gapiów. Zawsze zadziwia mnie, jak szybko rozchodzą się tu nowiny. - Spojrzał znacząco na zatłoczoną salę. - Ostatni raz było tu tak pełno, kiedy pokazywaliśmy powtórkę meczu z mistrzostw świata.

Parsknęła śmiechem.

- No, no, prawdziwy komplement. To wielki honor zajmować w rankingu to samo miejsce co piłka nożna.

Matt także uśmiechnął się, siadając.

- Nie piłka nożna, tylko mistrzostwa świata. To różnica. Powinnaś być dumna.

Cieszyła się, że był tak zrelaksowany. Musiał znaleźć gdzieś inny prysznic, bo miał jeszcze wilgotne włosy, które skręcały się na wysokości kołnierzyka. Tak jak ona zmienił służbowy strój i siedział teraz w dżinsach i płóciennej koszuli w czarną kratkę. Podwinął rękawy i rozpiął kołnierzyk.

Ile czasu spędził bez Jess od chwili wypadku? - zastanowiła się Sharon. Wątpiła, by było go wiele, i ucieszyła się, że miał ten wieczór tylko dla siebie, nawet w tak szczególnej sytuacji.

Frank przedstawił im sąsiadów przy stole, spędzili miło czas na niezobowiązującej pogawędce. Wkrótce i Sharon poczuła się swobodniej. Chociaż wzbudziła zamieszanie w męskiej załodze, nikt nie powiedział jednego niewłaściwego słowa. Zresztą większość pracowników platformy stanowili szczęśliwi mężowie, którzy sporą część wolnego czasu poświęcali na studiowanie rodzinnych zdjęć.

- Było mi bardzo przyjemnie, ale wzywają mnie obowiązki. - Matt wstał, odsunawszy krzesło. - Nie musisz iść ze mną, Sharon - dodał, widząc, że i ona się podnosi.

- Chciałabym zajrzeć do pacjentów - wyjaśniła. - Poza tym Gary zasłużył na przerwę.

- Ucieszą się - rzucił Matt. - Gary ma dobre serce, ale, powiedzmy sobie, to ogromne szczęście, że nie zdecydował się na pielęgniarstwo.

Rozbawił wszystkich tą uwagą, także Sharon. Wyszła za nim, zadowolona, że nie będzie musiała sama kluczyć tamtejszymi zakamarkami.

- Nie wiem, jak znajdujesz drogę - stwierdziła, sunąc za nim labiryntem korytarzy.

- Odzywa się we mnie harcerz - poinformował z uśmiechem. Skręcili i stanęli jak wryci przed ścianą.

Sharon zachichotała.

- Co mówiłeś?

- Dobra, nie powiedziałem, że jestem nieomylny.

- Całkiem sprytnie. Nikt nie oskarży cię o fałszywe zeznania.

- No właśnie. Jestem na to zbyt przebiegły!

Przesłał jej uśmiech, od którego zwariował jej puls. Położył jej ręce na ramionach i obrócił ją twarzą w stronę, z której właśnie przyszli.

- Chyba powinniśmy byli pójść w lewo - stwierdził, kiedy wrócili do skrzyżowania.

Uniosła brwi.

- Jesteś pewny?

- Jak najbardziej! - Udawał, że się jej krytycznie przygląda.

- Mam nadzieję, że nie wątpi pani w moje umiejętności, panno Lennard. To mi pachnie niesubordynacją.

- Proszę o wybaczenie, kapitanie! Nie każ mnie zrzucać z mostku - błagała.

- Na platformie wiertniczej mógłby być z tym pewien problem - odparł, potrząsając głową. - Jest pani szalona, wie pani o tym?

- Naprawdę? - Śmiała się z jego poważnej miny. - Proszę nie odpowiadać. W porządku, kapitanie, którądy zatem?

- Tam. Tak myślę. - Ruszył inną częścią korytarza.

Ale szybko okazało się, że znów zabłądzili. Matt miał tak zabawny wyraz twarzy, że w końcu parsknęła śmiechem.

- No dobra, przyznaj się, Pojęcia nie masz, gdzie jesteśmy - drażniła się z nim.

- Bzdura! Pomyślałem tylko, że masz ochotę na zwiedzanie. - Wskazał na drzwi na lewo. - To jedna z kabin, a to... - wskazał na drzwi po prawej stronie - to druga. Widzisz? Świetnie się orientuję.

- Jak mogłam wątpić? - Była już obolała ze śmiechu. Matt spojrzał na nią groźnie.

- Coś mi się zdaje, że pani ze mnie pokpiwa, panno Lennard.

- Jakżebym śmiała? - Wycierała załzawione oczy.

- Oczywiście, że by pani śmiała. - Uśmiechał się całą twarzą. - W pani obecności nikt długo nie zachowa powagi.

- Dobrze czasem pośmiać się z siebie. Nie można cały czas traktować życia tak strasznie serio - powiedziała.

- Czasami brak powodu do śmiechu.

Westchnęła, słysząc powracający smutek w jego głosie.

- Wiem, ale grzechem jest pozwolić życiu przejść obok. Trzeba je przeżyć.

- Dziękuję za radę.

Zatrzymała go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Nie weźmiesz jej pod uwagę? - spytała cierpko. Natychmiast tego pożałowała, bo znowu rozdzielił ich chłód.

- Uparłeś się, żeby nie mieć własnego życia, prawda? - ciągnęła.

- Nie chcę o tym rozmawiać...

- Wiem! Tak samo jak wiem, że to nie moja sprawa! A jednak powiem ci to, Matt. Wiem, jak bardzo kochasz Jessicę i rozumiem, że zrobiłbyś dla niej wszystko. Robisz jednak błąd, zapominając w tym wszystkim o sobie.

- Jeśli masz na myśli seks, powiedz to otwarcie! - Raził ją wzrokiem, instynktownie cofnęła się o krok. - Nie spałem z kobietą od śmierci Claire. Mówi ci to coś o moich potrzebach? No, przecież masz na wszystko odpowiedź.

Zamilkła. Nie wiedziała, czy to jego złość ukradła jej słowa, czy zaniemówiła zaszokowana jego celibatem, ale zupełnie nic nie mogła wymyślić.

Rzucił coś ostro i pchnął ją, przechodząc. Nie śmiała iść za nim. Udało jej się jakimś cudem znaleźć kabinę. Padła na koję. Miała wrażenie, że jej serce rozpada się na kawałki.

Wyobraziała sobie, jak strasznie ją znienawidzi, że wydobyła z niego tak intymne wyznanie.

Musiała zasnąć, bo obudziło ją nagle stukanie do drzwi. Poruszając się niezdarnie w ciemnościach, otworzyła i w jednej chwili wróciła do rzeczywistości.

- Wybacz - odezwał się krótko Matt. - Frank kazał ci powiedzieć, że pokazują film. Możemy chciałabyś go obejrzeć.

Miał już odejść, ale nie mogła mu na to pozwolić, nie próbując przynajmniej przeprosić za swoje zachowanie.

- Zaczekaj... Chętnie obejrzę - zebrała się w sobie - ale najpierw chcę ci coś powiedzieć. Wejdz, proszę. - Zapaliła światło i odsunęła się, lecz się nie poruszył.

- Sharon, to nie...

- Powinam cię...

Równocześnie zaczęli mówić i równocześnie przestali. Matt wszedł do środka, wzruszając ramionami.

- Zaczynaj pierwsza.

- Chciałam przeprosić cię za to, co powiedziałam. - Wbiła wzrok w podłogę, bojąc się, że nie starczy jej odwagi, by powiedzieć mu to prosto w oczy. - Nie miałam prawa tak mówić.

- A ja nie miałem prawa tak na ciebie warknąć, czyli rachunki Wyrównane. - Roześmiał się beztrosko, lecz bez przekonania.

Podniosła oczy i ciarki przeszły jej po plecach. W jego twarzy nie było złości, raczej smutek.

- Cieszę się. - Lekko, trochę bezradnie, uniosła ramiona. Była mu winna szczerłość. - Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

- Powiedziałaś tylko to, co uważasz za słuszne.

- Tak, ale to nie moja sprawa, prawda?

- Sądzę, że powodowała tobą tylko troska, i jestem ci wdzięczny.

- Naprawdę? - O ileż byłoby jej łatwiej, gdyby nie traktowała tej sprawy tak osobiście. Gorąco tego pragnęła, ale ani o krok nie zbliżała się do celu.

- Ależ tak - odparł. - Dobrze wiedzieć, że cię obchodzę, nawet jeśli to niczego nie zmienia.

Sens tego, co usłyszała, był tak ostateczny, że łzy napłynęły jej do oczu.

- Dlaczego, Matt? Czemu tak uparcie przy tym obstajesz? - dopytywała się. - Chcesz się w ten sposób ukarać?

Wstrzymała oddech, bo przyszło jej nagle do głowy, że może znów powiedziała słowo za dużo.

- Nie umiem pozbyć się poczucia winy - oświadczył. - Wciąż myślę, co by było, gdybym się wtedy nie spóźnił. - Kiedy chciała się wtrącić, potrząsnął głową ze smutkiem, który przyprawił ją o jeszcze gorętsze łzy. - Nic nie mów. Już to słyszałem, ale najpierw muszę sam w to uwierzyć. Zresztą nie tylko poczucie winy nie pozwala mi się z nikim związać. To także ryzyko, że znowu będę cierpiał, na które nie jestem gotowy. Już raczej dokończę życie w samotności.

Łzy popłynęły jej wartką strugą. Tyle czasu się oszukiwała!

- Przestań. Nie mogę na to patrzeć. - Wziął ją w ramiona i przytulił tak jak córkę, kiedy było jej smutno. Tym bardziej się rozbeczała. - Sharon, ja naprawdę nie zasługuję na te łzy. Masz własne życie, a ja dam sobie radę...

- Jak? - wykrztusiła. - Z premedytacją pozbawiasz się szansy na szczęście. To błąd, Matt. Straszny błąd!

Podniosła na niego mokre oczy, żeby postarał się zrozumieć. Pokręcił tylko głową z lekkim uśmiechem.

- Nie poddajesz się łatwo?

- Nie. Kiedy się z czymś nie zgadzam, robię wszystko.

- Jeszcze krok i uwierzę, że byłabyś do tego zdolna - odparł łagodnie.

Odgarnął jej włosy i pogłaskał ją po policzku, a potem z dziwnym namysłem przesunął dłoń ku jej skroni. Wstrzymała oddech ze strachu, że zakłóci tę chwilę. Zdawało jej się, że Matt robi to wszystko na wpół świadomie.

- Masz piękne włosy - powiedział, zatapiając w nich palce.

- Takie mocne i gładkie.

Gdy dotknął jej szyi, zamruczała instynktownie. Była wstrząśnięta intensywnością jego spojrzenia. Nagle gwałtownie się od niej odsunął.

- Teraz ja muszę cię przeprosić. Posunąłem się za daleko.

- Jego ton był ostry, choć czuła, że chwila bliskości głęboko go poruszyła.

Ale było to tylko małe światełko w pełnym ciemności tunelu. Przechowa je na później. Może... Może sprawa nie jest kompletnie przegrana?

- A jaki to film? - spytała, zmieniając temat. Musiała być cierpliwa, nie przełknęłaby w tej chwili większej dawki odrzucenia.

- Ta nowa komedia romantyczna, o której wszyscy opowiadają. Oczywiście, wyświetlają ją na twoją cześć.

Coś zazgrzytało w jego głosie, ale poza tym trzymał emocje na wodzy.

- Na to muszę obejrzeć.

Poszła za nim do jadalni. Miała już wcześniej ochotę wybrać się na ten film, ale teraz za nic nie mogła się skoncentrować. Była kłębkim nerwów, dopóki nie pojawił się napis „koniec” i nie zapaliły się światła.

Stan trzech chorych poprawił się odrobinę. Sharon spała zadziwiająco dobrze i nie zbudził jej nawet huczący sztorm, jakby coś się w niej zamknęło, jakby dość miała emocjonalnej huśtawki. Niestety, zaraz po przebudzeniu wszystko wróciło, poczynając od zwierzeń Matta, a na chwili wyczekiwanej bliskości kończąc.

Sandy Atkins, Australijczyk, poczuł się na tyle dobrze, żeby z nią flirtować.

- Przyszłaś osuszyć nasze rozgrzane czoła, kochanie? Zrób sobie przyjemność i zacznij ode mnie. Szkoda czasu na tych dwóch umarlaków. - Spojrzał na nią filuternie.

- Widzę, że naprawdę się panu poprawiło! Ale wycieranie czółek należy chyba do Gary'ego? Nie chciałabym mu wchodzić w paradę.

Sandy jęknął.

- Jesteś bez serca, kobieto! Żeby oddawać biednego chorego w takie łapska. Myślałem, że pielęgniarki są troskliwe.

- To prawda, ale ja nie jestem zwykłą pielęgniarką. - Uśmiechnęła się chytrze. - Jestem dyplomowaną pielęgniarką, a z nas są niegorsze twardziele.

- Chyba musicie być twarde w takiej robocie - wtrącił drugi chory, Colin Hancock. Był w najcięższym stanie, poprzedniego dnia prawie wcale się nie odzywał. Sharon z radością powitała jego udział w rozmowie.

- Tak, czasami stres jest ogromny - przytaknęła. - Ale opłaca się. Wszystko wynagradza świadomość, że dajemy ludziom szansę powrotu do zdrowia.

- Robicie dobrą robotę - przyznał Lee Travers, młody Amerykanin. - Szczerze powiem, że ja bym tak nie potrafił.

- Nie każdy się do tego nadaje - odparła, skrepowana trochę pochwałami. Nigdy nie uważała się za kogoś wyjątkowego, choć zdawała sobie sprawę z wagi swej pracy. - Ja z kolei nie zgodziłabym się pracować na takiej platformie.

- Och, kwestia przyzwyczajenia - zapewnił Sandy. - Ciężka robota i mnóstwo wyrzeczeń. Nie wolno pić i nie ma kobiet. Za to na urloпах wyrównujemy straty, nie, chłopaki?

- No, chociaż może lepiej, gdyby nas tu nie było - zauważył smętnie Colin. - Doktor Dempster powiedział, że musieliśmy to złapać u rodziny Lee. Mieszkaliśmy na kempingu koło ich domu i po paru dniach byliśmy do cna pogryzieni przez pchły. Okazało się, że rozbiliśmy namiot obok kolonii dzikich psów. Doktor mówi, że to od nich te pchły.

- Mnie mówił to samo - potwierdziła. - Nie miałam pojęcia, że trąd jeszcze występuje.

- Ani my - rzucił Sandy. - Poproszę doktora, żeby mi to dał na piśmie, bo nikt mi nie uwierzy.

Roześmiali się zgodnie. Otworzyły się drzwi i wszedł Matt. Serce Sharon zrobiło małą przewrotkę.

- Myślisz, że nikt nie da ci wiary? - spytał, słysząc prośbę Sandy'ego.

- No. Albo pokażę im to na piśmie, albo muszę wziąć ze sobą świadka. - Mrugnął do Sharon. - Nie pojechałabyś ze mną. złotko? Tylko sobie wyobraź, jak byłoby fantastycznie pojechać do krainy Oz. żeby potwierdzić moją wersję.

Dzięki tej historii miałbym utrzymanie do końca życia, gdyby tylko mi uwierzyli.

Sharon pokręciła głową.

- Przykro mi, ale jestem tu potrzebna. Musi ci wystarczyć pismo doktora.

Spojrzała na Matta i ze zdziwieniem zobaczyła, że jest wściekły. Próbował to zakamuflować.

- Dam ci list, Sandy. Mógłbym napisać o tym artykuł do pism medycznych. Prześlę ci kopię, jeśli go wydrukują.

- Świetnie! Jak to się rozejdzie, będę sławny i zasypię mnie zaproszeniami z całego świata! Może to mi jakoś wynagrodzi, że ta pani nie chce ze mną jechać. - Westchnął. - Pewnie jest zajęta, bo inaczej sam byś jej nie popuścił.

Sharon bała się podnieść wzrok. Lepiej zignorować te słowa. Matt był chyba tego samego zdania, uśmiechnął się półgębkiem i zaczął badanie.

Wyszła. Czowała, że Matt tego oczekuje. Spodziewali się wkrótce helikoptera, który miał ich zabrać na ląd. Jeszcze parę dni i cały epizod pójdzie szczęśliwie w niepamięć.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Nie chcę pani niepotrzebnie martwić. Nie łapie się trądu tak łatwo, jak można by przypuszczać. Jeśli weźmie pani konieczną dawkę antybiotyku i nie zauważy nic podejrzanego, nie ma się czego obawiać.

- Gorączka, dreszcze, bóle głowy, nudności i powiększone węzły chłonne - wyrecytowała Sharon, siedząc w gabinecie Grace Harding, konsultantki do spraw chorób tropikalnych i zakaźnych w szpitalu, do którego zabrano ich z platformy.

- Nauczyłam się na pamięć.

- Wzorowy pacjent! Oby takich więcej - mówiła Grace, myjąc ręce. - Więc nie spodziewam się, żeby się pani zaraziła, ale wolę dmuchać na zimne. Wysyłam panią na zwolnienie.

- To konieczne? - wykrzyknęła Sharon z żalem, wiedząc, że spowoduje to pewne komplikacje.

- Niestety tak. - Grace wytarła ręce i podeszła do biurka.

- Tylko na tydzień, i wyłącznie na wszelki wypadek. Musimy tak postąpić z każdym, kto ma kontakt z tego rodzaju chorobą. Wiem, że to niewygodne, ale ostrożność nie zawadzi.

- Pewnie ma pani rację - skrzywiła się Sharon. - Dopiero co zaczęłam pracę.

- Przecież to nie pani wina! - zauważyła życzliwie Grace.

- Muszę powiedzieć, że pani oddanie pracy robi na mnie wrażenie. Większość ludzi cieszyłaby się z takiej okazji.

- Może, ale ja tę pracę bardzo lubię. - Sharon zawahała się, zadając kolejne pytanie. - Czy Matt też idzie na przymusowy urlop? To dopiero byłby kłopot.

- Nie, na szczęście Matt był szczepiony przeciw trądowi. - Grace wreszcie usiadła. - A co u niego? Współczuję mu z powodu wypadku. Pracowaliśmy razem w Royal - dodała gwoli wyjaśnienia.

- Nie wiedziałam. - Sharon znów poczuła dreszcze. Nie chciała się zdradzić, a tak bardzo pragnęła dowiedzieć się o nim czegoś więcej. I oto nadarza jej się świetna okazja! - Ogólnie dobrze sobie radzi - rzekła. - Uwielbia córkę, mają doskonały kontakt.

- Ale wciąż zadręcza się poczuciem winy? - Grace uśmiechnęła się, widząc zdziwioną minę Sharon. - Mój mąż i ja dobrze ich znaleźliśmy, często wypuszczaliśmy się gdzieś we czwórkę. Po przyjściu na świat Jessiki trochę się to zmieniło, co rozumiałe, chociaż podejrzewam, że Claire była nadopiekuńcza. Nie chciała jej zostawić nawet na parę godzin.

Sharon pokiwała głową.

- To może dlatego Matt tak uczepił się przeszłości i całą uwagę koncentruje na Jess.

- Naprawdę? Wie pani, nie dziwię się, zawsze miał silne poczucie obowiązku. Na szczęście, równoważone najbardziej błazeńskim poczuciem humoru, z jakim się spotkałam. Nie mogliśmy z Simonem doczekać się tych spotkań. Claire była dużo spokojniejsza. - Uśmiechnęła się. - Pozostaje nam mieć nadzieję, że Matt nie zmarnuje reszty życia, analizując przeszłość.

Sharon zgodziła się w skrytości ducha. Podziękowała lekarce i wyszła, zachodząc w głowę, jak dostanie się do domu. Od przyjazdu do szpitala nie widziała Matta, nie miała pojęcia, czy w ogóle jeszcze tu przebywa. Kręcenie się po budynku nie wydało jej się jednak najmądrzejsze, mimo zapewnień Grace, że nie jest zarażona. Koszt podróży taksówką z góry ją zniechęcał, ale to wyjście uznała za najrozsądniejsze.

- W samą porę! Już miałem cię szukać. Wynająłem samochód, żeby nas zawieźć do domu. Wypożyczalnia ma u nas oddział i sami go zabiorą z powrotem. - To był Matt, oczywiście.

- Myślałam, że już jesteś w domu.

- Miałbym cię tu zostawić? Uśmiechnęła się.

- Po prostu nie byłam pewna. Wzruszył ramionami.

- Powinienem był wcześniej się z tobą skontaktować, ale kazali mi wypełniać setki formularzy. Nie wyobrażasz sobie nawet.

- W trzech egzemplarzach i z dwoma pieczętkami - drażniła się z nim, idąc do drzwi.

- A co myślisz! Przypomnij mi, żebym nigdy więcej nie odpowiadał na takie wezwanie. Ręka mi zaraz odpadnie.

Dzień był słoneczny, powietrze pachniało kwiatami, które rosły w doniczkach po obu stronach wejścia. Trudno było uwierzyć, że jeszcze godzinę wcześniej znajdowała się na środku Morza Północnego, patrząc na ogromne fale uderzające w platformę.

- Biedaku! Życie jest takie ciężkie, prawda?

- Uważaj, maleńka, bo pójdziesz do domu na piechotę!

- Z dzwonkiem na szyi i kartką z napisem: Zakażona? - dokuczała mu.

- Byłbym do tego zdolny, twoim zdaniem? - śmiał się, otwierając drzwi samochodu.

- Nie odpowiem, dopóki nie znajdę się bezpiecznie w domu - odparła, wślizgując się do środka.

Matt zachichotał i zapalił silnik.

- Mądra kobieta.

Ruszyli przez miasto. Kiedy zbliżyli się do autostrady, Matt zerknął na nią.

- Pojechałbym boczną drogą, jeśli ci to nie przeszkadza.

- Nie. Wolę podziwiać widoki zamiast się ścigać. A co z Jessica? Nie będzie się niepokoić?

- Już z nią rozmawiałem. Rodzice zabierają ją na basen, ma w nosie, kiedy wrócę do domu. - Uśmiechnął się. - Mogę nacieszyć się swobodą.

Amen, pomyślała Sharon. Najwyższy czas. Może to znak jakiejś większej zmiany?

- Co cię tak cieszy?

Drgnęła. Nie miała odwagi mówić szczerze, by nie zamknął się znów w swojej skorupie.

- Pogoda, przejażdżka i to, że nie widzę wokół ani kropelki wody!

Roześmiał się serdecznie.

- Zdaje się, że nie miałabyś ochoty tam wrócić. A tak ciepło cię powitano!

- Nie wiem, czy chodziło o moją osobę - śmiała się - czy fakt, że przypadkiem jestem kobietą.

- Nie bądź taka skromna. Myślisz, że ci faceci nie potrafią docenić urody?

- Dziękuję - odparła ciepło. - Jak większość kobiet, lubię nawet niezасłużone komplementy.

- Bardzo proszę, podejrzewam, że ci ich nie brakuje.

W jego głosie zabrzmiała lekka chryпка. Przełknęła ślinę.

Rozdzieliło ich jakieś, niewidoczne wcześniej, napięcie. Odwróciła się do okna, nie znajdując lepszego wyjścia.

- W młodości często tu bywałem.

Jego ton był dalej dość oschły. Gdy zdobyła się na komentarz, jej głos był napięty jak struna.

- Tak? A, wspominałeś o wspinaczkach.

- No właśnie. Kiedyś starałem się jak najwięcej czasu spędzać na powietrzu, zwłaszcza podczas studiów. To był najlepszy relaks.

Mówi znów normalnie, stwierdziła z ulgą.

- A stres wcale nie kończy się z ostatnim egzaminem. Tyle potem jeszcze szkoleń i praktyk!

- Nie musisz mi mówić! - Stęknął. - Nie mogę nawet myśleć o swoich doświadczeniach z praktyk. Marzyłem tylko o tym, żeby się wreszcie wyspać!

- To znaczy, że nie korzystałaś z życia? - Roześmiała się, gdy spojrzał na nią pytająco. - A co z tymi legendami o balowaniu młodych lekarzy?

- Och, zdarzało się, ale przeważnie siedziałem z nosem w książkach. Nie skarzę się, nigdy tego nie żałowałem. Bardzo lubię swoją pracę.

- Jak poznałaś Claire? Pracowała z tobą? - spytała nieśmiało, ale ku jej zdumieniu odpowiedział bez wahania.

- I tak, i nie. - Zobaczył jej konsternację. - Claire była nauczycielką. Pracowała na pediatrii z dziećmi skazanymi na dłuższy pobyt w szpitalu.

- Aha. - Tylko tyle potrafiła z siebie wydobyć. Otworzywszy drogę do dalszych pytań, nie mogła ich znaleźć. Nie chciała chyba słuchać o miłości Matta do żony i o tym, jak wciąż za nią tęskni.

Stanowczo nie. Ciągnęła jednak temat mimo to, a on tymczasem zmarkotniał.

- Któregoś dnia wpadłem na nią w stołówce, dosłownie, aż jej talerz poleciał na podłogę. Skończyło się tym, że zafundowałem jej lunch. Zaczęliśmy się spotykać i po pół roku wzięliśmy ślub.

- Szybko! - zauważyła ostrożnie, przełknięta, co byłoby, gdyby wiedział, jak przykro jej tego słuchać.

- Nie mieliśmy wątpliwości, że chcemy być razem. Zorganizowaliśmy wszystko w ciągu dwóch miesięcy. Claire była doskonała w takich sprawach.

Niepotrzebnie poruszyła tę kwestię!

- Niewątpliwie.

Matt zwalniał przed zakrętem w lewo.

- Wydaje się, że to tak dawno. Jakby działo się to wszystko w jakimś innym życiu.

- Domyślam się. Dobrze jest mieć co wspominać - dodała spokojnie, odsuwając na bok własne uczucia. Kogo one obchodzą? To Matt cierpi i on potrzebuje wsparcia.

- Istnieje jednak niebezpieczeństwo, że pozwolisz im sobą zawładnąć do tego stopnia, że nie zrobisz ani kroku do przodu. Być może tak właśnie dzieje się ze mną.

- Może - szepnęła struchlała. Skąd u niego takie przypuszczenie? Czy ma to coś wspólnego z jej osobą?

- Może czas, żebym spojrzał krytycznie na swoje życie i coś zmienił - rzekł cicho.

Patrzył w skupieniu na drogę i zamilkł. Sharon nie przestawały dźwięczeć w uszach jego słowa. Najbardziej obchodziło ją, czy Matt przewiduje dla niej

jakieś miejsce w tych zmianach. Czy spełni się jej pragnienie, by dzielić z nim przyszłość?

Serce podpowiadało jej radosne tak. Mimo to starała się zachowywać jakby nigdy nic. Poruszyli więc inny, mniej osobisty temat. Matt znakomicie radził sobie na krętej bocznej drodze, ale zapowiadało się na dłuższą jazdę. Sharon z zadowoleniem przystała więc na propozycję zatrzymania się na wczesny lunch.

Znaleźli niewielki pub nad rzeką, zaparkowali. Wybrali stolik na dworze. Sharon zamówiła kanapki z razowego chleba z sałatką z indyka, Matt - krewetki. Popijali lemoniadą. Po ostatnim kęsie westchnęła z przyjemnością.

- Było pyszne!

- Prawda? - zgodził się, rozkoszując się widokiem. - Muszę zapamiętać to miejsce. Jess bardzo by się tu podobało.

- Z pewnością. Kiedy byłam w jej wieku, uwielbiałam wiosłować... - Urwała raptownie, uświadamiając sobie, co mówi. - Och, wybacz, Matt. Jestem bezmyślna.

- Nie przesadzaj. - Położył rękę na jej dłoni, w jego spojrzeniu było morze łagodności. - Nie musisz cenzurować każdego swojego słowa. Wiem, że nigdy rozmyślnie nie skrzywdziłabyś ani Jess, ani mnie.

- Tak, ale...

Delikatnie położył palec na jej ustach.

- Daj spokój! Przestań się bezsensownie oskarżać.

- To samo wciąż powtarzam tobie.

Wyrzuciła to z siebie bez zastanowienia. Zdjął palec z jej ust, ale nieoczekiwanie nie zabrał ręki. Miała dziwne uczucie, że w jakiś sposób ten kontakt był mu w tym momencie równie niezbędny co powietrze.

- Chciałbym w to uwierzyć, Sharon. Naprawdę. - Jego głos był pełen bolesnej wątpliwości.

Przygryzła wargi. Wiedziała, że nic się nie zmieni, póki Matt nie dojdzie do ładu sam ze sobą.

- Nie przychodzi mi to łatwo. Wydaje mi się zaraz, że szukam wymówek, bo nie potrafię zaakceptować prawdy.

- Kiedy prawda jest oczywista, to był wypadek!

Teraz ona przykryła ręką jego dłoń, by w ten sposób przelać na niego swoje przekonanie. Było mu to niezbędne do dalszego życia.

- Niektórzy nazywają to losem, inni uważają to za boski wyrok, a ja nie wiem, kto ma rację. Najprościej mówiąc: stało się. Widocznie Claire dotarła do

kresu swojej drogi. Wiem, to może nie ma sensu, zwłaszcza w obliczu wypadku Jessiki, ale musisz się z tym pogodzić.

Płakała, nieświadoma łez, dopóki nie popłynęły jej ciurkiem po policzkach. Nie przejęła się tym, bo teraz liczył się tylko Matt i jego złamane życie.

Strumień łez wzbierał, słyszała, że Matt mruczy coś pod nosem. Potem wziął ją za rękę i zmusił do wstania. Zostawili za sobą pub i ciekawskie spojrzenia. W dół, do rzeki, ciągnął się ogród. Matt poczekał, aż znajdą się na brzegu, i przytulił ją tak mocno, że ledwo oddychała.

- Przestań, proszę! Nie chciałem cię doprowadzić do takiego stanu - mówił lekko ochrypłym głosem.

- Nie chcesz raczej, żebym się angażowała. - Znów się rozszlochała. - Myślisz, że nie zdaję sobie sprawy, że mnie odpychasz?

- Bo chciałem tego uniknąć! - Odsunął ją, patrząc na nią wprost. - Nie chciałem cię skrzywdzić.

- Nie czuję się skrzywdzona! - zaprzeczyła.

- To czemu beczysz? To nie są łzy radości, kochanie. - Otarł palcem jej policzek i uśmiechnął się melancholijnie.

- Nie. Przykro mi. Nie uczę się na błędach. Ciągłe za dużo mówię.

- Owszem. Chciałbym cię poprosić, żeby to się nie powtórzyło, ale... jestem chyba na to za dużym egoistą.

Znalazła w sobie siłę, by podnieść wzrok, i miękkie jej kolana. Matt patrzył na nią z nieskrywanym pożądaniem.

- Strasznie mi się podoba, że tak się o mnie martwisz. A to źle, bo nie mogę ci nic zaproponować w zamian.

Widziała, jak jego pierś unosi się i opada. Nie mogli stać bliżej siebie niż teraz.

- Zacząłem czuć, że żyję, a nie czułem się tak od... bardzo, bardzo dawna...

Zawiesił głos, zamienił słowa w pocałunek. Sharon zarzuciła mu ramiona na szyję i natychmiast odpowiedziała tym samym. Była zdeterminowana. Jeśli to jedyna droga, by go przekonać, pójdzie nią.

Całował ją namiętnie i żarliwie, jakby nieskończenie długo tego wyczekiwał. Nie było to zresztą dalekie od prawdy.

Sharon otworzyła się przed nim bez zastrzeżeń. Nie było sensu udawać i grać. Chciała obdarować go wszystkim, co możliwe, z nadzieją, że uleczy go przez miłość.

Odchylił głowę, jakby wyczuł jej uśmiech.

- Sharon?

- Matt? - Bała się jeszcze zdradzić swoje uczucia. Nie chciała o nich mówić, dopóki do nich nie przywyknie,

Uśmiechnął się, czując, jak wstrząsają nią dreszcze.

- Nie zapytam nawet, o co chodzi. Jeszcze raz ją pocałował i odstąpił o krok.

- Chyba powinniśmy zapłacić za lunch i ruszać dalej, zanim tu narozrabiamy.

- Masz rację. - Pocałowała go, z radością przyjmując zapłatę w tej samej walucie. - Myślałam, że przyrzekłeś sobie trzymać się ode mnie z daleka?

- Mężczyzna też może czasami zmienić zdanie, prawda? To nie tylko domena kobiet w tych oświeconych czasach. - Jego twarz przykrył nagły cień.

- Sharon, nie wiem, czy...

- Cicho! - Powstrzymała go całusem. - Nie robimy nic złego. Jesteśmy młodzi, wolni. No, w każdym razie ja...

- Chcesz mi dać do zrozumienia, że jestem stary, panno Lennard? - Promieniał, kiedy się uśmiechał.

Uskoczyła, żeby jej nie złapał.

- Mówiłeś coś o zapłaceniu rachunku?

- Jeszcze się zemszczę, uważaj, młoda damo!

- Już się boję!

Pobiegła do samochodu, Matt wstąpił po drodze do pubu. Po chwili zobaczyła go z powrotem i jej serce wypełniło radosne ciepło. Miała przed sobą człowieka zupełnie niepodobnego do tego, którego poznała parę tygodni wcześniej. Nie była jednak na tyle głupia, żeby uznać to za koniec kłopotów.

Droga upłynęła im na przyjacielskiej rozmowie, ale gdy tylko zajechali pod dom, Sharon omal nie zemdląła z napięcia. Matt ani słowem nie wspomniał, że zdarzenie nad rzeką będzie miało jakiś dalszy ciąg. W jej głowie szalała burza.

- Wejdiesz na kawę? - spytała, wyobrażając sobie, jak Matt to zinterpretuje.

- Nie mam najmniejszej ochoty na kawę - odparł.

- Ani ja - przyznała i zatkała sobie usta ręką.

- Naprawdę?

Na jej twarzy wypłynął rumieniec, ale nie spuszczała z niego wzroku.

- Chyba oboje wiemy, że pytam, czy masz ochotę dokończyć to, co zaczęliśmy nad rzeką?

- Owszem. - Nachylił się i pocałował ją, po czym jednak się odsunął. - Jeśli o to ci chodzi.

- Ale? - Czują w powietrzu odmowę.

- Ale muszę napisać raport. Obiecałem, że zrobię to dziś po południu, a już prawie trzecia. - Podarował jej jeszcze jeden długi pocałunek, który wywiał z jej głowy wszelkie wątpliwości. - Nie chciałbym zostać z tobą i cały czas patrzeć na zegarek.

- Och! - Tylko na to było ją stać, miała mętlik w głowie.

- A zatem, poszłabyś ze mną jutro na kolację? Mama na pewno chętnie zajmie się Jess, jeśli ją poproszę.

- Ja... tak, bardzo chętnie. - Zawahała się, bo coś przyszło jej do głowy. - Czy nie sądzisz, że rozsądniej będzie zjeść coś u mnie?

- O wiele lepiej, chociaż daję ci słowo, że nie zaraziłaś się trędem. - Kolejny pocałunek pojawił się jako słodki przerywnik. - Ale przynajmniej nie zgorszymy współbiedniaków - powiedział figlarnie.

- Właśnie - przytaknęła i niechętnie wzięła się do otwierania drzwi. - Lepiej już idź. Jutro koło siódmej, dobrze?

- Świetnie.

Przygarnął ją czule. Kiedy stanęła znów o własnych siłach na chodniku, bała się, że upadnie. Uszczypnęła się i nic się nie zmieniło. I jeśli nawet Matt nie powiedział wprost, że widzi ją jako istotną część swojej nowej konstrukcji, wyraźnie dał to zrozumienia.

Pierwszą wątpliwość, jaka dość szybko się pojawiła, Sharon natychmiast zepchnęła jak najdalej. Przebrnęła do końca dnia, sprzątajac i przygotowując skomplikowane danie z kurczaka. Kiedy przyszedł czas na prysznic, wpadła w popłoch, w co ubierze się na upragnioną randkę. Przymierzała po kolei zawartość swojej szafy i nic jej nie zadowoliło. Na wieczór z Mattem musi mieć coś zupełnie specjalnego.

Tuż przed siódmą zadzwonił telefon. Pobiegnęła do holu, to był Matt. Opadła ją znów czarodziejska mgiełka i dopiero po chwili dotarły do niej jego słowa.

- Jessica? - powtórzyła. - Do szpitala? Co się stało?

- Jeszcze nie wiem. Miała straszne bóle. Wybacz, ale nici z naszej kolacji. Jadę z nią.

Odłożył słuchawkę. Sharon powoli zrobiła to samo. Poszła do pokoju i spojrzała na stos rozrzuconych na łóżku ubrań. Nie miała żalu, że córka była dla Matta ważniejsza. Bolało ją, że nie poprosił, by im towarzyszyła. Zobaczyła teraz, jak głupio łudziła się, że w jego życiu jest dla niej miejsce.

Ona, ze swoją miłością, już się tam nie mieściła.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Następny tydzień, zgodnie z zaleceniem spędzony w domu, dłużył jej się niemiłosiernie. Wymyślała sobie rozmaite zajęcia, ale jej inwencja w tym zakresie miała swoje granice. Dom lśnił czystością, ogród został wytrzebiony z chwastów, i dalej ciążyły jej puste godziny.

Matt poinformował ją telefonicznie, że Jess wróciła do domu. Najprawdopodobniej miała ostre zapalenie dróg moczowych, ale już wydobrzała. Nie zaprosił jednak Sharon, by ją odwiedziła, nie wrywała się więc sama z taką propozycją.

Z mieszanymi uczuciami wróciła do pracy. Martwiła się, jak da sobie radę z obecnością Matta. Nie przestała go kochać, tylko gdzieś ulotniła się początkowa związana z tym radość.

Mike powitał ją w charakterystyczny dla siebie sposób.

- Nareszcie, Nasza Panna Szczęściara. Nie dość, że miała opłacone koszty pobytu w jednym z najdroższych uzdrowisk, to jeszcze zafundowano jej tydzień wypoczynku! No, przyznaj się, jak to zrobiłaś?

- Niektórzy po prostu mają szczęście być we właściwym miejscu w odpowiednim czasie. Albo się to ma, albo nie - odparła z dostojną miną.

- Dzięki Bogu, że należę do tych drugich - wtrąciła Beth.

- Nie uśmiecha mi się pobyt na platformie wiertniczej, z zarazą czy bez.

Sharon spojrzała na nią z udawanym zdziwieniem.

- Czemu? Siedzisz sobie na środku Morza Północnego, wyje sztormowy wiatr...

- Przestań! - otrząsnęła się Beth. - Nie chcę sobie tego nawet wyobrażać. Dobrze, że miałaś chociaż Matta. - W jej spojrzeniu był znak zapytania.

Sharon bała się, że wyraz jej twarzy coś zdradzi. Z kłopotu wybawiło ją pojawienie się Berta, który dosłownie zbombardował ją pytaniami. Wkrótce Beth wyszła, a Sharon zapomniała o chwilowym zakłopotaniu.

Zaraz potem wezwano ich do wypadku. Kierowca ciężarówki stracił panowanie nad wozem, jadąc autostradą M62. Zrobił się potworny korek, bo kraksa zdarzyła się w godzinach szczytu. Karetki nie miały szansy się przebić, dlatego zwrócono się do nich. Andy zakreślił kółko na mapie, szukając odpowiedniego lądowiska.

- Nie zaryzykuję, dopóki nie będę pewny, że nic nie wejdzie mi w drogę.

- Poproszę Mike'a, żeby zaangażował policję - rzekł Matt. Po chwili przez radio odezwał się oficer dyżurny.

Matt naprędce wyjaśnił mu ich położenie. Zapewniono go, że ruch zostanie natychmiast wstrzymany. Westchnął ciężko, patrząc z góry na szczątki samochodu, rozrzucone na szosie prowadzącej na zachód.

- Coś czuję, że marnie tam. Sharon, trzeba najpierw wyszukać najbardziej poszkodowanych. Dobrze?

- Jasne - odparła, trzymając emocje na wodzy.

Tego ranka Matt spytał ją tylko, co słyhać. Znaczyło to, jej zdaniem, że odbudowuje mur, który zdążyli już naruszyć, a który miał za zadanie trzymać ją na bezpieczną odległość. Czyżby tak prędko pożałował tamtych chwil?

Radio zacharczało głosem dyżurnego oficera policji, który zapewnił, że lądowisko jest puste. Sharon wróciła myślą do czekającego ją zadania. Gdy Andy posadził helikopter na autostradzie, Matt odwrócił się do nich, mówiąc:

- Znacie swoje obowiązki, działajcie rozważnie. Żadnych przypadkowych ruchów. - Zawiesił spojrzenie na Sharon, wyskoczył i pobiegł w stronę najbliższego pojazdu.

Sharon porwała torbę i pospieszyła za nim. Woląca nie myśleć, że ostrzeżenie Matta jest przeznaczone właśnie dla niej. Zresztą, do diabła z tym! Zatrzymała się obok jednego z pierwszych poszkodowanych samochodów. W środku znajdowało się dwoje ludzi. Oboje byli przytomni i logicznie odpowiadali na pytania, toteż Sharon uspokoiła ich w paru słowach i pobiegła do następnego wozu, którym była biała ciężarówka.

Kierowca miał tylko skaleczony policzek, za to jeden z jego współpasażerów, który siedział z tyłu, był w dużo gorszym stanie. Wyrzuciło go na drogę, kiedy tylne drzwi samochodu gwałtownie się otworzyły. Sharon bez trudu stwierdziła, że ma poważne uszkodzenia głowy.

- Co z nim? - dopytywał się Matt, kiedy go zawołała.

- Ledwie, ledwie. Nieruchome gałki oczne, rozszerzone źrenice. - Wskazała na prawe ucho mężczyzny, skąd wyciekała wodnista ciecz. - To chyba płyn mózgowo-rdzeniowy.

- Faktycznie niedobrze. - Matt zaczął badać rannego. - Chyba ma też wewnętrzne uszkodzenia. Dajmy mu kroplówkę i odeślijmy go, bo tu nic więcej nie zdziałamy.

Prędko przygotowali mężczyznę do transportu. Kilka okolicznych szpitali postawiono w stan gotowości. Już po paru minutach mężczyzna był w drodze na oddział specjalistyczny w Manchesterze.

Sharon tymczasem przedzierała się dalej przez sterty pokiereszowanych aut. Z rannym poleciał Bert, mieli z Andym wrócić jak najszybciej. Na szczęście

jedna z normalnych karettek zdołała jakoś przedostać się na miejsce wypadku. Sharon wraz z drugim pielęgniarzem udzielali pierwszej pomocy najciężej rannym. Ale tu każdy, niezależnie od stanu, czuł się poszkodowany.

- Może pani zobaczyć moją córkę?

Jakaś kobieta chwyciła Sharon za ramię, o mało się nie przewracając.

- Proszę usiąść - poinstruowała Sharon, prowadząc ją na pobocze.

- Nic mi nie jest. Moja córeczka... proszę, musi pani! Kobieta odwróciła się i jak szalona pobiegła z powrotem.

- Lepiej idź. Ja zostanę - odezwał się pielęgniarz. Sharon czym prędzej podążyła za kobietą. Jej samochód stał z tyłu i wyglądał na nienaruszony.

- Nie wiem, co jej się stało. Przed chwilą wszystko było w porządku, a nagle patrzę w lusterko i widzę...

Kobieta szarpnęła nerwowo drzwi. Sharon z przerażeniem zobaczyła małą dziewczynkę, która wyraźnie miała kłopoty z oddychaniem. Jej wargi były sine.

- Proszę pomóc mi ją wyciągnąć - powiedziała, odpinając pas, którym przypięte było dziecko. Położyły ją na drodze, Sharon szybko zmierzyła tętno, z ulgą je odnajdując.

Zajrzała do ust dziewczynki, czy nie znajdzie tam jakiejś widocznej przeszkody, po czym, za pomocą ręcznej pompki, zaczęła wtlaczać powietrze do jej płuc. Od razu widziała, że nie odnosi to żadnego skutku.

- Musi być jakaś blokada... Coś zatrzymuje powietrze po drodze - oświadczyła zdenerwowanej matce.

Ponownie otworzyła usta dziecka, ale nic nie było widać. Jeśli rzeczywiście coś stoi na przeszkodzie, musiało utkwąć gdzieś głębiej.

- Czy mogła coś połknąć? - spytała.

- Nie sądzę... Och, miała jakieś słodycze! Dostała je od babci, dziś rano, przed wyjazdem. Mówiłam, żeby ich nie jadła, ale kto wie...

Sharon nie słuchała dłużej. Posadziła dziewczynkę, naciskając zaciśniętą pięścią jej brzuch. Miała nadzieję, że dziewczynka wypluje, cokolwiek tam się znajdowało.

Ale i to okazało się nieskuteczne.

- Co jest? - Matt zjawił się niespodzianie obok. Przywitała go z ulgą.

- Chyba coś utkwilo jej w przełyku. Nie mogę tego wydostać, a to blokuje powietrze. Nie ma też co jej intubować, bo nic nie przejdzie przez blokadę.

- Nie traćmy czasu. - Zwrócił się ze współczuciem do przerażonej matki. - Pani córka nie przeżyje, jeśli natychmiast czegoś nie zrobimy. Wiem, że będzie

to wyglądało brutalnie, ale tylko w ten sposób możemy ją uratować. Rozumie pani?

- Tak! Róbcie, co chcecie, byle żyła!

Kobieta szlochała. Sharon domyślała się, co planuje Matt, szybko wyciągnęła środek odkażający i posmarowała nim gardło Jane. Należało zrobić wejście do tchawicy dziecka i wsadzić rurkę, przez którą powietrze dostanie się do jej płuc.

Zrobili to w rekordowym tempie. Matt nadzorował miejscowe znieczulenie, naciął i umocował rurkę do tracheotomii. Sharon ulżyło, zabarwienie skóry małej Jane wróciło niemal do normy.

- Dziękuję. Nic więcej nie potrafię powiedzieć. - Matka ledwo wydobywała z siebie słowa. Była w kompletnym szoku. Matt pomógł jej się podnieść, w tym czasie pakowano dziecko do karetki, która miała przewieźć je do szpitala.

- Proszę się już nie martwić, wszystko powinno być dobrze - uspokajał kobietę, podtrzymując ją w drodze do karetki. Gdy tylko odjechała, westchnął ciężko. - Zupełnie nieprzytomna. Niestety, tak jest, gdy chodzi o własne dziecko.

Sharon milczała. Nie знаła tego uczucia. Potrafiła sobie tylko wyobrazić, jak czułaby się, gdyby na miejscu Jane znalazła się Jessica. Nieznana siła zacisnęła jej gardło.

- Sharon?

Odwróciła się raptownie i pospieszyła do pracy. Tylko to łączy ją z Mattem tak naprawdę. Ich drogi krzyżują się wyłącznie w godzinach pracy.

Do bazy wrócili kompletnie wykończeni. Sześć ofiar śmiertelnych i dziesięć ciężko rannych osób - taki był bilans wypadku. Pięcioro zabrali do szpitala helikopterem, z nadzieją, że zwiększy to ich szanse, choć nie mieli przecież żadnych gwarancji. Tłumaczyło to ponury nastrój na pokładzie, kiedy helikopter wylądował w bazie.

- Dziękuję wszystkim za dobrą robotę. Za dziesięć minut spotkamy się na chwilę w biurze. - Matt wyskoczył pierwszy, jak zazwyczaj, ale zaczekał na Sharon. Pomógł jej wysiąść i wziął ją na stronę.

- W porządku? Wyglądało to groźnie...

Nie chciała, by pomyślał, że spodziewa się po nim jakiegoś specjalnego traktowania.

- W porządku. To nie pierwszy i pewnie nie ostatni taki wypadek. Daję sobie radę.

- Nie wątpię - odparł sztywno.

- No to wszystko jasne. - Uśmiechnęła się oficjalnie i odeszła z myślą, że mogła zachować się grzeczniej. Ale jakoś sobie ze sobą nie radziła.

Odprawa trwała krótko. Każdy miał za zadanie napisać raport z wypadku. Sharon wzięła lunch do ogrodu i tam się tym zajęła. Kończyła właśnie, kiedy dobiegł ją śmiech dziecka. Podniosła wzrok i zobaczyła Jessicę jadącą ku niej ścieżką.

- Niespodzianka! - śmiała się dziewczynka, widząc zdumienie Sharon. - Wiedziałam, że się zdziwisz. Mówiłam to babci.

- No i zdziwiłaś. Ale to miłe zdziwienie. Jak się masz? Twój tata mówił mi, że byłaś chora, ale już jest lepiej. - Wstała, żeby uściskać małą.

- Miałam infekcję pęcherza - oświadczyła mała z powagą. Sharon powstrzymała śmiech.

- Tak słyszałam, kochanie. To musiało być bardzo nieprzyjemne.

- No tak, ale pielęgniarki w szpitalu były miłe. - Jessica ściągnęła brwi. - Prosiłam tatusia, żebyś mnie odwiedziła, ale powiedział, że masz dużo zajęć.

Coś podobnego! Miała już na końcu języka, że to nieprawda, ale uświadomiła sobie, że nie może podważać ojcowskiego autorytetu.

- Tak? Ale cieszę się bardzo, że cię widzę. Co tu robisz? - spytała Sharon, dyplomatycznie zmieniając temat, choć postanowiła, że Mattowi nie ujdzie to na sucho. Była dorosła i sama decydowała, czy ma wolny czas!

- Babcia zapomniała klucza do drzwi, jak wychodziłyśmy rano - wyjaśniła Jessica.

Wysoka, siwowłosa kobieta, niezwykle podobna do Matta, zbliżała się właśnie do nich.

- To jedna z przyjemności starzenia się. Pamięć zaczyna szwankować - zauważyła z przymrużeniem oka. - Jestem Eileen Dempster, matka Matta, a pani to pewnie Sharon. Cieszę się, że wreszcie się poznamy. Tyle o pani słyszałam, moja droga!

Uścisnęły sobie ręce.

- Nie wiem, czy to dobrze? - zaśmiała się Sharon.

- Och, same dobre rzeczy, zapewniam. - Starsza kobieta spojrzała na wnuczkę. - Jess jest pod ogromnym wrażeniem pani osoby. Nie przestaje o pani mówić.

- Jest kochana - odparła Sharon szczerze, patrząc, jak dziewczynka manewruje wózkiem, by przyjrzeć się motylowi, siedzącemu na krzaku.

- Tak. Po ojcu odziedziczyła zainteresowanie światem i poczucie humoru. W jej sytuacji to doprawdy zdumiewające.

- Ma szczęście, że ma ojca, który robi dla niej wszystko.

- Czasem wolałabym, żeby poświęcił więcej czasu sobie. - Eileen Dempster uśmiechnęła się enigmatycznie, gdy Sharon podniosła na nią wzrok. - Typowa reakcja matki, moja droga. Trudno o wyważony sąd, gdy w grę wchodzi o własne dziecko.

Sharon zmarszczyła brwi. Czyżby ta kobieta chciała jej coś przekazać?

- Spytałaś już, babciu? - odezwała się Jessica.

- Czemu sama tego nie zrobisz, kochanie? - odparła starsza pani.

- O co chodzi? - Sharon przenosiła wzrok z kobiety na dziecko. - Brzmi to bardzo tajemniczo.

- Jutro są urodziny tatusia i przygotowujemy dla niego przyjęcie. Ale on nic nie wie - wyjaśniała przejęta dziewczynka.

Sharon zaśmiała się.

- Chciałabym zobaczyć jego minę, kiedy się dowie - rzuciła spontanicznie.

- To świetnie. Bo właśnie o to chciałam cię prosić. Miałam nadzieję, że do nas dołączysz, moja droga - wtrąciła Eileen ku rozpaczony Sharon. I nie pozwoliła jej dojść do głosu. - Jessico, powiedz Sharon, jakie niespodzianki zaplanowałyśmy na jutro.

- Ja upiekę ciasto. Tort urodzinowy ze świeczkami. Tatuś kończy trzydzieści osiem lat, to musi mieć bardzo duży tort, żeby tyle ich zmieścić!

- Uhm, będzie na pewno zachwycony - powiedziała Sharon słabym głosem, bo czuła już, co za chwilę usłyszy.

- Na pewno, jak wszystko się wyda. - Eileen zachichotała. - I tu zaczyna się pani rola.

- Och, aleja nie... - zaczęła Sharon, ale Jessica natychmiast jej przerwała.

- Pomożesz mi? Babcia nie umie piec, a ja powiedziałam jej, że ty potrafisz, bo jadłam u ciebie ciasto, no to babcia powiedziała, żeby cię poprosić o pomoc.

- Dziewczynka złapała ją za rękę. - Przecież nie ma przyjęcia urodzinowego bez tortu ze świeczkami!

- Można kupić tort - zasugerowała delikatnie Sharon, z góry wiedząc, że Jessica się na to nie zgodzi.

- To nie to samo! Chcę sama zrobić ciasto dla tatusia i postawić na nim świece! - Patrzyła błagalnie. - Proszę, Sharon, powiedz, że mi pomożesz!

Sharon musiałaby mieć twardsze serce, by się dłużej opierać. Westchnęła cicho, wiedząc, że robi wielki błąd.

- No dobrze - odezwała się, zanim nie przeważył w niej rozsądek.

Dziewczynka zapiszczała z radości.

- To bardzo uprzejmie z pani strony. Mam dwie lewe ręce, jeśli chodzi o kuchnię - przyznała otwarcie Eileen Dempster, a Sharon nie mogła dojść, czemu wydaje jej się, że została w to sprytnie wmanipulowana. Zaczęła mimo to planować.

- Mam wszystko, co trzeba, ale czy uda nam się nie wzbudzić podejrzeń Matta?

- Och, to już załatwione. Robert, jego ojciec, zabierze go na cały dzień. Ma mu pokazać domek, który chcemy kupić. - Eileen śmiała się serdecznie. - Nie skłamię, bo rzeczywiście myślimy o jakimś kącie w Anglii, choć niekoniecznie na takiej zapadłej wsi! Robert zapewnił mnie, że zejdzie im na tym całe popołudnie.

Sharon z podziwem kręciła głową.

- Pomyślałyście o wszystkim.

- Och, starałyśmy się. Niezależnie od mojej awersji do gotowania, lubię myśleć, że jestem dobrą matką. Naprawdę mam na sercu tylko dobro Matta.

Sharon ponownie poczuła, że nie wszystko tu rozumie. W tym samym momencie na horyzoncie pojawił się Matt. Z bijącym sercem dostrzegła jego ponurą minę.

- Co się stało? - spytał. - Andy powiedział mi, że tu was znajdzie.

- Nic się nie stało, kochanie. Zapomniałam klucza od drzwi. - Eileen otworzyła torebkę. - Głowę dam, że brałam go ze stolika w holu! Strasznie mi wstyd. Ale chyba nic się nie stało?

- Odwróciła się do Sharon i mrugnęła. - Cieszę się, że panią poznałam. Może się wkrótce spotkamy.

Sharon wymruczała coś w odpowiedzi. Matt szybko wyprowadził swoje panie. Czyżby bał się, że Eileen ją zaprosi?

Tak ją zdenerwował, że postanowiła się odegrać.

- Możesz mi wyjaśnić, dlaczego powiedziałeś Jess, że nie mam czasu odwiedzić jej w szpitalu? - rzuciła, jak tylko pojawił się znowu w polu jej widzenia.

- Uważałem, że tak będzie lepiej. - Nie próbował nawet się tłumaczyć. - Nie chcę, żeby się do ciebie przywiązała, już to mówiłem.

- Mówiłeś.

Jego policzki poczerwieniały. Jej twarz przeciął uśmiech.

- A jak nazwiesz to, co wydarzyło się tamtego dnia? Nagłe zaburzenie umysłowe? Straciłeś rozum i pomyślałeś, żeby zmienić coś w swoim życiu?

- Nie ma sensu o tym rozmawiać. Zachowałem się niewłaściwie. Przykro mi, jeśli zrobiłem ci nadzieję...

- Owszem, zrobiłeś! Przestań mnie przeproszać! To ci nie daje prawa udawać, że nie chciałeś się ze mną kochać!

- To nie czas ani miejsce na takie rozmowy - oznajmił z naganą w głosie, ale Sharon była już za bardzo zraniona, żeby się złościć.

- Owszem, ale to jedyne miejsce, w którym się spotykamy. Chcę tylko wiedzieć, o co chodzi. Czemu zmieniłeś zdanie? Czy zdałeś sobie nagle sprawę, że i tak nikt nie będzie dla ciebie nigdy ważniejszy niż Claire?

- Nie będę teraz dyskutował. Przeprosiłem już. Nie mam nic więcej do powiedzenia, Sharon.

Mówił szorstkim, nieprzyjemnym tonem, choć słyszała, że nie przychodzi mu to wcale łatwo. Każde wspomnienie chwili namiętności musiało w nim rodzić wściekłość. Za każdym razem, gdy ją widział, myślał pewnie, jak bardzo blisko był tego, by zdradzić pamięć Claire.

- Nie pozostaje mi nic innego jak zaakceptować przeprosimy i już do tego nie wracać. - Nie chciała jednak, by przez nią cierpiał.

- Wybacz, Sharon, ale z całego serca wierzę, że to najlepsze rozwiązanie.

Nie zamierzała dłużej tego słuchać. Zostawiła go w ogrodzie. Zrobi dokładnie tak jak chciał, chociaż niczego nie wymaże z pamięci. Kocha go. Te dwa krótkie słowa nigdy nie ciążyły tak niczyjemu sercu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nadeszła niedziela. Sharon wstała z mniejszym niż zwykle entuzjazmem. Dzień był przepiękny, nie mogła więc o zły nastrój winić pogody. Eileen Dempster telefonowała do niej poprzedniego wieczoru, prosząc o przyjscie o dwunastej w południe. Sharon ogarnęły poważne wątpliwości, czy powinna się ostatecznie zgodzić. Nie potrzebowała szklanej kuli, by wiedzieć, że Matt nie ucieszy się z jej zaangażowania w przygotowania do urodzinowego przyjęcia, ale nie potrafiła zrecznie się wykręcić.

Wzięła prysznic i przyjrzała się swojemu odbiciu w łazienkowym lustrze. Miała głębokie cienie pod oczami. Miłość nie jest rzeczą łatwą i przyjemną. Nie odchodzi, nawet kiedy nie ma szansy na wzajemność, nie można jej zakręcić i odkręcić, jak wody w kranie. W godzinach pracy przyczają się gdzieś w zakamarkach pamięci, by zaraz potem wysunąć się na pierwszą linię.

Sharon zdała sobie sprawę, że może jej być coraz trudniej pracować z Mattem. Lepiej byłoby dla nich obojga, gdyby rozejrzała się za czymś innym. Nie miała na to ochoty, ale jeszcze gorsza wydawała jej się perspektywa nieustannej emocjonalnej huśtawki. Zmiana otoczenia dałaby jej szansę, ale decyzja nie należała do najprostszych.

Włożyła złoto-pomarańczową wzorzystą sukienkę, która podkreślała kolor jej włosów. Ciemnobrązowy tusz do rzęs i muśnięcie miedzianej szminki dopełniły jej wyjściowego wizerunku, a kolejne spojrzenie w lustro całkiem ją usatysfakcjonowało. Nikt nie powie, że wygląda na kobietę ze złamanym sercem.

Załadowała bagażnik i ruszyła. Szybko dotarła do celu i spanikowała, spostrzegłszy samochód Matta przed domem. Zadzwoiła z najbliższej budki, gotowa odłożyć słuchawkę, gdyby przypadkiem się zgłosił. Usłyszała jednak głos Jess, która poinformowała, że tatuś z dziadkiem pojechali autem tego drugiego.

- Ale się głupio czułam w tej budce! - relacjonowała potem matce Matta.

Eileen zaśmiała się.

- Wyobrażam sobie. Jestem ci ogromnie wdzięczna i wierzę, że Matt też to doceni, kiedy tylko otrząśnie się z szoku.

Sharon nie była tego taka pewna. Postanowiła ulotnić się, zanim zjawi się Matt, nie chciała jednak uprzedzać o tym pani Dempster. Pozwoliła, by Jess pomogła jej przynieść z samochodu sprzęt do pieczenia, ostrożnie umieszczając tekturowe pudełko w ramionach dziewczynki.

- Pierwsze koty za płoty, moja panno. Teraz myjemy ręczki. Sharon zarekwirowała z saloniku stół do kawy i ustawiła na nim wagę, tak by była dostępna dla Jessiki.

- Zważysz masło i cukier, a potem włożysz je do tej miski - tłumaczyła. - Napisałam ci tu, ile czego trzeba.

Jessica odmierzała składniki z otwartą buzią, dosypywała niemal po ziarenku, żeby wszystko się zgadzało. Eileen z czułością obserwowała wnuczkę.

- Cały ranek była taka przejęta. Matt z pewnością coś podejrzewał, ale nie dał tego po sobie poznać.

- Raczej trudno zmusić Jess do milczenia - zauważyła Sharon, przypatrując się poczynaniom dziewczynki.

- Ale dotrzymuje sekretów.

Eileen uśmiechnęła się z ukontentowaniem i wyszła do ogrodu. Sharon wciąż miała wrażenie, że coś przed nią ukrywa. Jessica domagała się jednak ciągłej uwagi, nie było zatem czasu na roztrząsanie takich rzeczy.

Było to zwariowane, lecz miłe przedpołudnie. Mąka rozsypała się, jedno z jajek wylądowało na podłodze. Tak czy owak, najważniejsze było, że Jessica ogromnie się cieszyła. Starannie zanotowała wszystkie wskazówki Sharon.

Kiedy wymieszały składniki, wlały ciasto do formy i wstawiły je do piekarnika.

- Będzie się piekło pół godziny, może odrobinę dłużej - powiedziała Sharon.

- Zanim wsadzimy je do lodówki, musi wystygnąć. Pamiętałaś poprosić babcię o świeczki?

- Sama je wybierałam. - Jessica podjechała do kredensu, otworzyła go, i wręczyła Sharon paczkę zapakowaną w biało-różowy papier. - Mówiłam babci, że świeczki muszą być niebieskie, bo to jest kolor dla chłopców.

- Jak ich dużo! - Sharon zachichotała. Wyobraziła sobie minę Matta na ich widok.

Minęła jeszcze godzina i tort był gotowy.

- Ale piękne... Naprawdę piękne! - zachwyciła się Jess, studiując żółty lukier i rzędy niebieskich świeczek. Niespodzianie objęła Sharon za nogi.

- Dziękuję ci! Tatuś będzie taki szczęśliwy!

- Bardzo proszę, kochanie. - Sharon przytuliła ją, z radością przyjmując mocny uścisk drobnych ramion dziecka. - Udusisz mnie!

Nie przestała się śmiać, kiedy otworzyły się drzwi. Spodziewała się Eileen, ale zamiast niej z trwogą ujrzała Matta. Przez moment żadne z nich nie znajdowało właściwych słów, aż Eileen stanęła za plecami syna.

- Wcześniej wróciłeś, mój drogi. Znaleźliście ten domek?

- Tak - rzucił Matt ostro.

Eileen zignorowała jego ton, lecz serce Sharon zamarło.

- Musisz mi później powiedzieć, co o nim sądzisz. - Eileen nie dała mu czasu na odpowiedź i szybko wypchnęła go za drzwi. - Idź sobie. Masz zakaz wstępu do kuchni. Idź i poczekaj w saloniku. Zawołamy cię, jak będziemy gotowe.

Oddalił się ze złowieszczą miną. Sharon szybko pakowała swój sprzęt do pudełka.

- Lepiej już pójdę. - Spojrzała na Jessicę i zniżyła głos. - Wydaje mi się, że Matt nie jest zadowolony, że mnie tu zobaczył. Nie chcę mu psuć urodzin.

- Nonsens! Jest tylko trochę zdziwiony. - Eileen odebrała jej pudełko i odłożyła je na suszarkę. - Mowy nie ma, żeby pani wyszła, prawda, Jessico?

Sharon jęknęła. Odchodząc, bardzo by ją zawiodła. Zostając, wprawi Matta w nie lada zakłopotanie.

Została jednak i zachowywała się jakby nigdy nic. Pomogła Eileen nakryć do stołu w ogrodzie, nieustannie myśląc o tym, co powie Matt.

Był bez zarzutu, chwalił Jessicę za ciasto i dziękował Sharon za pomoc. Wiedziała, że to tylko gra. Nie mogła się doczekać zdmuchnięcia świeczek i krojenia tortu, by wreszcie stamtąd uciec.

- Było bardzo miło - powiedziała, kiedy nadszedł wyczekiwany moment - ale powinnam już lecieć.

- Bardzo ci dziękuję, że przyszałaś, moja droga. - Eileen zwróciła się do męża. - Nie uważasz, że to po prostu cudownie, że Sharon zgłosiła się do pomocy, Robercie?

- Cudownie - odparł Robert Dempster, zerkając na Sharon.

- Chociaż, znając moją żonę, nie wiem, czy można tu mówić o dobrowolności.

Sharon zaśmiała się uprzejmie i szybko się pożegnała, ku wyraźnemu żalowi Jessiki.

- Odwiedzisz mnie znowu? - prosiła dziewczynka, wisząc u jej ręki. - Obiecuj mi.

- Spróbuję. - Sharon nie chciała obiecywać, świadoma, że słucha jej Matt, który uśmiechał się do niej, choć coś w jego oczach mówiło jej, by nie brała tego całkiem serio.

- Odprowadzę cię.
- Nie trzeba... - zaczęła.
- Ależ tak.

Wziął ją pod ramię i szybkim krokiem pociągnął w stronę domu. Nie zaprowadził jej jednak prosto do wyjścia, skierował się do gabinetu i zamknął za nimi drzwi.

- Możesz mi wytłumaczyć, co się dzieje?
- Nie ma nic do tłumaczenia. - Wzruszyła ramionami, niezdarnie udając kompletną nonszalancję. - Twoja matka prosiła, żebym pomogła Jessice. Jeśli to dla ciebie taki problem, porozmawiaj z nią o tym - rzuciła opryskliwie.
- Akurat znam zamiary mojej matki. Wypróbuję swoje siły jako swatka. - Uśmiechnął się, a Sharon zabrakło tchu.
- Nie domyślałaś się, że cię w coś wrabia?
- Skądże! - zawołała, i zaraz przypomniała sobie nieokreślony niepokój, jaki wzbudziła w niej ta wizyta.
- Myślałem, że jej nadgorliwość wyda ci się podejrzana.
- Jakoś nie. Powiedziała, że to ma być dla ciebie niespodzianka. Zresztą, nie obchodzi mnie, co o tym myślisz!

Zamierzała go odepchnąć, ale to właśnie był błąd. Gdy tylko go dotknęła, zastygła w bezruchu. Nie chciała go już odtrącać, lecz przytulić, i trwać tak, aż zdałby sobie sprawę, jak źle robi, wyrzucając ją ze swojego życia.

- Sharon, nie ułatwiasz mi tego.
- Słowa te, głośniejsze trochę niż szept, brzmiały w jej uszach jak rozziewający krzyk. Nie śmiała nawet oddychać. Nie zareagowała, czując jego dłonie na swoich gołych ramionach. Kiedy zaczął ją całować, nie potrafiła się oprzeć. Dotyk jego warg otworzył jej zablokowane serce i gorliwie mu odpowiedziała. Nie mogła udawać, nawet gdyby miała tego później żałować.
- Sharon, Sharon... - powtarzał cicho jej imię w przerwach między pocałunkami. Pragnął jej, czy tego chciał, czy nie.

Oddychając ciężko, podniósł wreszcie głowę. Jego oczy wypełniała namiętność. Jej serce galopowało. Pomyślała nagle, że mogą jeszcze wszystko naprawić, jeśli tylko się postarają.

- Matt, ja...
- Tatusiu, gdzie jesteś?

Na dźwięk głosu dziewczynki oboje podskoczyli. Matt wypuścił ją z objęć.

- Wybacz. Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

Odwróciła się, przerażona, że zaraz się rozplacze. Najbardziej na świecie nie chciała pokazać mu, że znów ją zranił. Te jego ciągle przeprosiny za chwile namiętności były dla niej nie do zniesienia.

Nogi ciążyły jej jak ołów. Z trudem doczłapała do holu. Matt otworzył przed nią drzwi wyjściowe i przez moment miał taką minę, jakby chciał coś dodać. Nie pozwoliła mu.

- Żegnaj, Matt.

Było w jej głosie coś ostatecznego. Jego twarz wykrzywił wielki żal.

- Żegnaj, Sharon - odparł niewyraźnie.

Dotknął przepraszająco jej ramienia i odsunął się. Wyszła czym prędzej na ścieżkę. Czowała promienie słońca na twarzy, zapach kwiatów i słony smak własnych łez, i powtarzała sobie, że to nie koniec świata. Tylko w środku była kompletnie wypalona.

Następne tygodnie ciągnęły się jak koszmar. Sharon spodziewała się, że sytuacja zmieni się wraz z nowym rozdzielnikiem pracy i przetasowaniami w zespołach. Widywała Matta tylko przelotnie, mimo to za każdym razem był to stres.

Doszło do tego, że odpowiedziała na ogłoszenie o pracy w jej dawnym szpitalu w Londynie. Nie była w stanie torturować się dłużej dzień po dniu. To była droga donikąd.

Zadzwoiła po formularz aplikacyjny i trafiła na swojego poprzedniego szefa, który powitał ją z radością i niezwłocznie wyznaczył datę spotkania.

Odłożywszy słuchawkę, wiedziała, że to tylko formalność, że ma już tę pracę. Powinna ucieszyć się, ale gdy zjawiła się w bazie następnego dnia, miała mętlik w głowie. Przeprowadzka nie zmieni jej uczuć do Matta, to tylko nowy widok za oknem.

Była to wyjątkowo dotkliwa świadomość. Tak przykra, że Sharon całkowicie zlekceważyła Matta idącego akurat korytarzem. Nie potrafiła udawać, że wszystko jest w porządku. Miała złamane serce, a to nie było normalne.

Niestety, nie uszło to uwagi Mike'a.

- Aż mnie zmroziło! Pokłóciliście się?

- Co za szczęście, że nie przepowiadasz pogody - zażartowała z nadzieją, że powstrzyma w ten sposób kolejne pytania.

- Chcesz powiedzieć, że mam wybujałą wyobraźnię? - Mike wzruszył ramionami. - Raczej nie. Andy stwierdził wczoraj, że jak tylko ty i Matt wpadacie na siebie przypadkiem, sypią się iskry.

Przesłał jej konspiracyjny uśmiech.

- No, powiedz wujowi Mike'owi: coś między wami nie gra?

- Nie. - Sharon włożyła torebkę do szafki z wielkim hałasem, byle tylko Mike nie widział jej twarzy. - Mylisz się.

Zatrzasnęła drzwiczki, czekając na koniec śledztwa. Mike nie miał złych zamiarów, ale chciała to uciąć.

Struchlała, gdy koło drzwi za jej plecami coś się poruszyło. To był Matt. Musiał wejść do pokoju niepostrzeżenie. Musiał też zatem słyszeć, o czym mówili, i aż ją ciarki przeszły na tę myśl.

- To w porządku. Pójdę sprawdzić, czy nie czeka na mnie jakaś robota - wybąkał Mike, zerkając nerwowo na Matta, i wymknął się z pokoju, dyskretnie zamykając drzwi. Sharon czuła, jak wzbiera w niej histeryczny śmiech.

Mike sądził chyba, że chcą zostać sami. Po co? Pławić się w tak ulubionych przez pary rozmowach? Pewnie jedyne, co Matt ma jej do powiedzenia, to wyrażenie niezadowolenia, że włącza w ich prywatne sprawy osoby trzecie.

Zakreśliła się na pięcie, by spojrzeć mu prosto w oczy.

- Podsluchiwałeś? Wiesz przynajmniej, że plotki nie pochodzą ode mnie.

- Nie wiem nic o żadnych plotkach - rzucił zwięźle. - I nigdy bym cię o nie nie podejrzewał.

- O, świetnie! To zabrzmiało jak wyraz zaufania. Muszę to zapisać. Dwudziestego sierpnia Matthew Dempster stwierdził, że nie jestem niczemu winna. Prawdziwie pamiętny dzień, trzeba go zakreślić w kalendarzu na czerwono.

- Przestań! Wiesz, że nic tym nie zyskasz!

- Oczywiście, że wiem! Wiem, że żadne moje słowo ani zachowanie niczego nie zmieni. Twoje decyzje są nienaruszalne jak kamień.

Wzięła głęboki oddech, bojąc się, że za chwilę powie coś, czego będzie żałować.

- No to dowiedz się z przyjemnością, że wkrótce wszystko zmieni się na lepsze.

- To znaczy? - spytał tonem, po którym przebiegły ją dreszcze. Zerknęła niepewnie, nie wiedząc, czy ujrzy w jego oczach złość czy inne, równie silne emocje.

Sama była wściekła, bo wciąż wypatrywała czegoś nieistniejącego.

- To znaczy, że staram się o inną pracę. Po tym, co mówił Mike, jestem pewna, że to jedyna dobra decyzja.

Oczekiwała, że Matt coś powie, a on sterczał w miejscu bez słowa.

- Mam spotkanie w moim poprzednim zespole w Londynie, w przyszłym tygodniu. Zresztą to formalność.

- Jesteś pewna, że tego chcesz?

Mówił do przesady powściągliwie. Nie sposób było odgadnąć, co czuje. Sharon zastanowiła się, jak w ogóle udaje jej się jeszcze funkcjonować.

- Uważam, że to dobry pomysł. W Londynie mam przyjaciół. Będzie mi tam łatwiej żyć.

Przez jego twarz przemknął ledwo dostrzegalny wyraz żalu.

- Ufam, że wyjdzie ci to rzeczywiście na dobre, Sharon. Zaslugujesz na to.

Brzmiało to szczerze. Sharon odwróciła zmacony przez łzy wzrok.

- Dziękuję. Ja... Dam ci wymówienie, jak wszystko tam ustalę. Nie przejmuj się mną, gdybyś chciał od razu zacząć szukać kogoś na moje miejsce. Na pewno coś znajdę, nawet jeśli tamta praca nie wypali.

- Nie wątpię. Z twoim doświadczeniem...

Zanim zdążyła pomyśleć, co tym razem chce jej zakomunikować, rozległ się alarm. Matt z trudem się pozbierał.

- Pierwsze wezwanie dzisiaj. - Otworzył przed nią drzwi. Sharon wymamrotała jakieś podziękowanie i minęła go. Bert był już w korytarzu, odbierając wiadomość od Mike'a, i właśnie się za nią rozglądał.

- Ranny w Hambleton Hills. Złamana noga i prawdopodobne inne obrażenia.

- Rozumiem. - Sharon przyspieszyła kroku. Matt położył jej przelotnie dłoń na ramieniu.

- Uważaj na siebie.

Wymusiła na sobie grymas uśmiechu.

- Zawsze uważam.

- Może jednak nie zawsze. - Ścisnął jej ramię i poszedł do biura.

Sharon pędziła korytarzem, nie chcąc nawet myśleć, o co mu chodziło. Czym prędzej weszła na pokład helikoptera i zapięła pas. Zamknięta w sobie, nie zauważyła, jak ze świstem ulatują nad ziemię.

Ranna kobieta była w marnym stanie. Nazywała się Debbie Wilson i wspinała się z kolegami z college'u. Jeden z nich szczęśliwie nie stracił głowy i zaznaczył miejsce wypadku, rozkładając na ziemi kolorowe kurtki przeciwdeszczowe. Było tam dość ponuro, wiele kilometrów od najbliższej drogi. Sharon nie dziwiła się, że wezwanie trafiło właśnie do nich.

- Moim zdaniem złamanie - zauważyła, badając lewą nogę kobiety. Kolano było wyraźnie przemieszczone, kość piszczelowa i kość strzałkowa wyglądały również na złamane.

- Potwornie boli - szepnęła Debbie. - Twarz też. Zmrużyła oczy, dotykając lewego policzka. Sharon ostrożnie

wytarła krew, kapiącą z nosa kobiety na skutek uszkodzenia części twarzowej głowy.

- Chyba ma pani złamaną kość policzkową. Może też być kłopot z górną szczęką, ale lekarze w szpitalu dokładnie to sprawdzą. Proszę się nie martwić. - Zerknęła na Bertę. - Coś przeciwbólowego?

- Tak. Nie każemy pani tak cierpieć, kochanie, skoro dźwigam tę magiczną skrzynkę - rzekł wesoło.

- Och nie, tylko nie zastrzyk! - wyjąkała młoda kobieta. Łzy popłynęły strumieniem z jej oczu, mieszając się z krwią ciekącą z nosa. Zaczęła konwulsyjnie kaszleć.

Sharon otoczyła ją ramieniem.

- Już dobrze. Jeżeli nie chce pani zastrzyku, nie zrobimy go przecież na siłę. Obiecuję.

W tym samym momencie Debbie zaczęła się dusić. Kombinacja krwi, łez i opuchlizna twarzy utrudniały jej oddychanie. Sytuacja mogła się w każdej chwili wymknąć spod kontroli. Sharon wiedziała, że musi przede wszystkim czym prędzej uspokoić pacjentkę.

- Nie wolno się pani denerwować. Nikt nie zrobi niczego bez pani zgody. Przewieziemy panią tylko helikopterem do szpitala.

- Nie... nie mogę... - Debbie z przerażeniem popatrzyła na maszynę.

Wtedy przykucnął przy nich jeden z jej kolegów.

- Debbie panicznie boi się latania - wyjaśnił. - Próbowaliśmy pozbyć się tego lęku, ale bez powodzenia.

Sharon załamała ręce. Czemu nikt ich o tym nie uprzedził? Bert najwyraźniej myślał tak samo, westchnął i podniósł się.

- Poproszę Andy'ego, żeby skontaktował się z bazą i zobaczymy, co wymyślą, chociaż normalna karetka raczej się tu nie dostanie.

Wrócił po paru minutach i wziął Sharon na bok.

- Samochód mógłby tutaj dotrzeć za jakieś półtorej godziny. I to tylko do najbliższej drogi, a nie tu, gdzie stoimy.

- To znaczy, że trzeba by ją przenieść tam na noszach. - Potrząsnęła głową. - Nie ma na to czasu, a dla niej, bez żadnego znieczulenia, byłby to koszmar. Nie wiemy zresztą, czy nie ma więcej uszkodzeń. Musimy ją przekonać, że helikopter jest dla niej najlepszym wyjściem.

Ruszyła z powrotem, z niepokojem widząc, że stan pacjentki się pogarsza. Założyłyby się, że kobieta ma jakieś obrażenia wewnętrzne, wobec czego natychmiastowy lot do szpitala był niepodważalną koniecznością.

- Rozmawialiśmy z bazą. Samochód jechałby tu zbyt długo. Musisz być dzielna. - Ścisnęła jej dłoń. - Nie chcę cię straszyć, ale powinnaś jak najszybciej znaleźć się w szpitalu.

Debbie była śmiertelnie przerażona.

- Nie mogę...

- Deb, dasz radę! - Młody mężczyzna uściśnął jej drugą rękę. - Przecież ty się tak łatwo nie poddajesz.

Debbie spojrzała na niego błagalnie.

- Polecisz ze mną, Steve?

- Jeśli tylko mogę. - Zerknął na Sharon niepewnie, a ona niezwłocznie przytaknęła. Wiedziała, że to niezgodne z przepisami, ale inne wyjście nie przychodziło jej do głowy.

Bert był niespokojny.

- Nie powinniśmy uzgodnić tego z bazą?

- Być może. Ale to zajmie jeszcze więcej czasu. - Sharon spojrzała na Debbie i potrząsnęła głową. - Musimy ruszać.

- Chyba masz rację - zgodził się Bert.

Załadowali Debbie, usadowili Steve'a i kazali mu zapiąć pasy. Trzymał ranną za rękę podczas startu. Debbie krzyczała ze strachu.

- Nie! Wypuście mnie!

Sharon chwyciła ją za drugą rękę, którą Debbie wymachiwała jak szalona. Chora była mocno przypięta pasami, mogła jednak niechcący odłączyć się od kroplówki. Nagle pechowo zdzieliła Sharon w twarz, i to z taką siłą, że Sharon uderzyła o ścianę maszyny i mimo ochronnego kasku zobaczyła gwiazdy.

Odbiła się i pochyliła głowę między nogi, żeby nie zemdleć. Debbie osłupiała.

- Nic ci nie jest? - zdenerwował się Bert, obejmując ją ramieniem.

- Chyba nie. - Sharon oddychała niepewnie, wciąż wirowało jej w głowie i zrobiło jej się niedobrze.

- Ależ ma cios!

Wszyscy się roześmiali. Debbie do końca podróży nie sprawiała kłopotów, przerażona lotem i potyczką z Sharon. Sharon z ulgą wysiadła wreszcie z helikoptera. Przetrwiała tylko siłą woli, bo czuła się podle.

Zobaczyła przed sobą personel szpitalny, który ich oczekiwał, i ni stąd, ni zowąd ziemia pod jej nogami zaczęła dokądś pędzić. W następnej chwili Sharon leżała u ich stóp.

Dość szybko odzyskała przytomność, zanim jeszcze wniesiono ją do wnętrza. Lekarz upierał się wszakże, żeby ją przebadać.

Poddała się temu niechętnie, czując się jak kompletna idiotka. Bert powiadomił ją, że wracają z Andym do bazy. Doskonale rozumiała, że nie mogą na nią czekać.

Minęła godzina, a ona wciąż oczekiwała na badanie, wściekła, że traci czas. Postanowiła się z tego wypisać, jeśli w ciągu pięciu minut nikt się nie pojawi, i wówczas odsunęła się zasłonka przy jej łóżku. Słowa zamarły jej na ustach, kiedy zamiast szpitalnego lekarza stanął przed nią Matt. Pojęcia nie miała, skąd się tam wziął, widziała jednak, że był wzburzony.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz, szalona kobieto? Skoro pacjentka bała się lecieć, powinnaś była wezwać normalną karetkę! Złamałaś przepisy, narażając siebie i innych!

Sharon zdecydowała, że uśmiech będzie lepszy od wrzasku.

- Miło cię widzieć. Nie przejmuj się, że nie przyniosłeś mi winogron, wcale się nie spodziewałam.

- No to nie będziesz rozczarowana.

Podszedł do łóżka. Nie zdążyła się zorientować w jego zamiarach, gdy ujął i ucałował jej dłoń, potem drugi raz, trzeci... Później przestała liczyć.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Puścił ją niechętnie na odgłos zbliżających się kroków. Ledwo zdążyła złapać oddech, gdy zajął do niej lekarz. Matt wytłumaczył mu swoją obecność i wyszedł. Sharon ucieszyła się, że czekają ją tylko rutynowe badania.

Odpowiedziała na pytania lekarza, powiodła wzrokiem za palcem, który przesuwiał jej przed oczami, i została zwolniona. Wychodziła z podejrzeniem, że wizyta Matta była tylko wytworem jej wyobraźni. Tymczasem zobaczyła go w poczekalni.

- Wszystko w porządku? - spytał zachrypłym z emocji głosem, który przyprawił ją o kolejny zawrót głowy.

- Tak - wyszeptała, po czym spojrzała mu prosto w twarz. - O co chodzi, Matt? Czemu to zrobiłeś?

- Jaka pani ostrożna w słowach, panno Lennard. - Jego zielone oczy ożywiły się tak radośnie, że w jej biednej głowie kręciło się jak na karuzeli.

Śmiał się, widząc jej osłupiałą minę. Objął ją w pól i ostrożnie poprowadził do drzwi.

- Zrobiłem to, bo nie mogłem się powstrzymać. Zbyt długo z sobą walczyłem. Przyznaję się do porażki.

Gotowało się w niej od pytań, ale nic więcej się nie dowiedziała. Kiedy stanęli przy samochodzie, na twarzy Matta znać było wszystko, o czym dotychczas marzyła.

- Szaleję za tobą, Sharon. Jak tylko cię zobaczyłem, wiedziałem, że wpędzisz mnie w kłopoty. - Przechylił jej twarz, by móc ją pocałować. - Wiem, byłem potworem, ale ufam, że mi wybaczysz.

- Być może.

Ściągnął brwi i zaśmiał się nerwowo.

- Co to znaczy, że za mną szalejesz?

- Typowa kobieta. Wybiera najgorszy możliwy moment, żeby dociekać szczegółów. - Z uśmiechu wynikało, że się z nią droczy, z jego tonu - mnóstwo innych rzeczy.

Sharon bała się robić sobie nadzieję, zanim nie usłyszy wszystkiego wprost.

- Przepraszam, ale muszę wiedzieć - oznajmiła cicho.

- Kocham cię. To właśnie tyle znaczy. Czy to wyjaśnienie cię zadowala? - spytał.

- Tak! Oczywiście, że tak!

Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go, z sercem pękającym tym razem z radości. Ten całus był jak pieczęć i obietnica, i trwałby dłużej, gdyby im znów nie przerwano.

- Nienawidzę się wtrącać, ale czuję tu temat.

Obrócili się jednocześnie i zobaczyli młodego mężczyznę.

- Geoff Goodison z Weekly News. - Wyciągnął rękę. - Spotkaliśmy się już, kiedy transportowaliście wcześniaka.

Sharon uścisnęła mu dłoń zaskoczona.

- Ach, tak.

- Kończę właśnie tę historię i kogo widzę?! Coś mi się zdaje, że mam materiał na kolejny odcinek.

Patrzył na nich znacząco. Sharon zaczerwieniła się. Matt tymczasem był nieporuszony. Objął ją i patrzył wyzywająco na dziennikarza.

- Może ma pan rację, ale nie chcę sięgać po broń, jak mi pan stanie na drodze, więc lepiej niech pan teraz spływa.

Geoff zaśmiał się serdecznie.

- Zgoda, pod warunkiem, że dostanę prawo na wyłączność. - Wręczył im wizytówkę. - Proszę do mnie zadzwonić, jak wszystko się ułoży. Aha, i powodzenia!

Matt westchnął ponuro, wtykając wizytówkę do kieszeni.

- Chyba trzeba mi czegoś więcej niż powodzenia. Jeszcze ktoś chce nam przeszkodzić?

- Może to nie najlepsze miejsce do rozmowy - zasugerowała Sharon, śmiejąc się radośnie.

- Nie miałem zamiaru dużo mówić. - Otworzył drzwi i pomógł jej wsiąść. - Jedźmy w jakieś spokojne miejsce, zanim całkiem zwariuję.

- Ustaliliśmy już chyba, że nie zwariowałeś.

- Owszem. - Pocałował ją. - Ale frustracja może być przyczyną niewyobrażalnych szkód u mężczyzny. Są na to naukowe dowody.

- No to nie ryzykujmy. - Westchnęła nagle. - Ojej, muszę wracać do bazy. Nie mogę wagarować, jeśli nic mi nie jest.

- Nie pozwolę ci dziś więcej latać - oświadczył. - Zarządziłem zastępstwo, masz wolne.

- Ale czuję się dobrze - protestowała.

Przerwał jej w najskuteczniejszy sposób. Zamknęła oczy, zastanawiając się, czy widzi prawdziwe gwiazdy..

- Dość tych kłótni. To jest zalecenie lekarskie, zrozumiano? Pokiwała głową, rozmarzona.

- Czy ktoś ci już powiedział, że jesteś apodyktyczny?

- I to nic raz! - Uśmiechnął się. - To jedna z moich lepszych wad. Myślisz, że się z tym pogodzisz?

- Możesz mnie przekonać - odparła z frywolną miną.

- Przestań! Bo nie dojedziemy bezpiecznie do domu! - Ucałował jej dłoń. - Masz pojęcie, co ze mną wyprawiasz?

- Nie bardzo, musisz mi pokazać.

W jego oczach było tyle miłości, że serce jej podskakiwało.

- Nie wyobrażam już sobie życia bez ciebie, Sharon. Przytuliła do niego policzek.

- Nie musisz. Będziemy razem. Ty, ja i...

- Jessica - dokończył.

Pojechali prosto do jej domu. Wszystko wydało się tam Sharon inne niż było jeszcze rano. Kwiaty pachniały mocniej, słońce bardziej grzało. Miłość Matta zmieniła wszystko na lepsze. Wziął ją w ramiona, jak tylko zamknęła drzwi, i całował bez końca, jakby nie mógł się nią nasycić. Potem zaniósł ją do sypialni i delikatnie położył. Nic bardziej naturalnego.

- Kocham cię, Sharon - szeptał, ściągając jej koszulkę przez głowę. Zdjął jej dzinsy i rzucił na podłogę.

Podobało jej się, jak pociemniały mu oczy. Została w przyzwoitych bawełnianych figach i podobnym staniku, bieliźnie, jaką nosiła do pracy. Mattowi w niczym jednak nie przeszkadzał brak fikuśnych koronkowych ozdób.

- Ja też cię kocham - odparła miękko, rozpinając mu koszulę, i albo trzęsły jej się ręce, albo perłowe guziczki były wyjątkowo odporne, bo kiepsko jej to szło.

Matt śmiał się życzliwie.

- Zdaje się, że brak ci praktyki - żartował.

Zadrzała, czując, jak jego język pokonuje barierę jej warg. Przestała walczyć z guzikami. Upadli na poduszki.

- Nie przypuszczałem, że można kogoś tak pragnąć... Słowa Matta przeniknęły do jej wnętrza, napełniając ją wielką radością. Zamknęła oczy i otworzyła serce. Zniknął najmniejszy cień wątpliwości. Jest i będzie mu potrzebna.

Była już noc, kiedy Sharon wysliznęła się z łóżka. Matt spał z głową na ręce, spokojny i zrelaksowany. Pocałowała go w szyję, uśmiechając się, kiedy zamruczał jej imię. Dobrze było wiedzieć, że myśli o niej nawet przez sen.

Włożyła szlafrok i poszła do łazienki, a potem do kuchni. Nie zdążyli niczego zjeść i dopadł ją głód. Matt też będzie głodny, jak się zbudzi, pomyślała.

Szybko usmażyła omlet i zrobiła sałatkę. Postawiła jeszcze na tacy dzbanek kawy i zaniósła wszystko do sypialni na zaimprovizowany piknik. Matt właśnie otworzył oczy.

- Skąd wiedziałaś, że umieram z głodu?

- Wiedziałaam. - Postawiła tacę na komodzie i pocałowała go, a on natychmiast przyciągnął ją do siebie. Z ciężkim westchnieniem odsunął się od niej.

- Nie kończyłbym, ale jestem taki głodny, że mogą opuścić mnie siły. Nie chciałem cię rozczarować.

- Nigdy mnie nie rozczarujesz - odparła. - Bądź grzeczny. To wstyd zmarnować tyle dobrego jedzenia.

- Tak jest. - Zasalutował, wziął talerz i rzucił się na omlet. - Pycha. Ukłony dla kucharza.

- Bardzo dziękuję, sir. - Sięgnęła po swój talerz ze śmiechem. - Pierwszy raz jem kolację w łóżku.

- Ja też. - Uśmiechał się czule. - Ale wydaje mi się, że wszystko, co robimy razem, dzieje się po raz pierwszy.

- Dziękuję - szepnęła z zamglonym wzrokiem.

- Nie musisz mi dziękować, to prawda. - Odstawił talerz i przytulił ją. - To, co dzieje się między nami, jest niewiarygodne. - Wziął głęboki oddech i kontynuował bez wahania: - Claire i ja byliśmy dobrym małżeństwem, ale nigdy nie przeżyłem z nią czegoś podobnego. Dlatego tak bałem się do ciebie zbliżyć.

- Nie rozumiem.

- Czułem się winny. Kochałem Claire inną miłością, delikatną, tak jak kocha się przyjaciela. Kiedy uświadomiłem sobie, co czuję do ciebie, uznałem, że to złe. Claire nie żyje, a ja szaleję za jakąś kobietą. Jakbym ją... zdradził, zdradził wszystko, co nas łączyło.

W jego głosie zabrzmiała żalność. Współczuła mu.

- Nie zdradzasz jej - zapewniła. - Nasz związek nie przekreśla niczego, co było. Musisz tak na to spojrzeć, Matt.

- Wiem, teraz wiem.

Czuła, że Matt musi się wygadać, wyrzucić z siebie wszystko.

- Zrozumiałem, że nie mogę dłużej żyć przeszłością, że Claire też by tego nie chciała. Trudno budować przyszłość na poczuciu winy.

- Czy nareszcie stwierdziłeś, że nie odpowiadasz za tamten wypadek? - spytała cicho.

- Chyba nigdy się tego do końca nie pozbędę, mimo że to niemądre - przyznał. - Nic na to nie poradzę, każde spojrzenie na Jessicę przypomina mi, jak mogłoby wyglądać jej życie. Zmieniło się tyle, że nie paraliżuje to już moich uczuć. Pogodziłem się z faktem, że był to wypadek.

Popłynęły jej łzy, bała się, że ten moment nigdy nie nastąpi. Śmiała się drżącym głosem, kiedy ją objął.

- Będziesz cały mokry!

- Nie szkodzi.

- Płaczę ze szczęścia! - Odszukała wargami dołeczek w jego brodzie.

- Rób tak dalej, a nigdy nie przejdziemy do kawy! O mały włos się nie zakrztusiła.

- Znow pan myśli o swoim żołądku, doktorze? Myślałam, że takie myśli przychodzą do głowy tylko wtedy, gdy nie ma nic lepszego do roboty?

- Nam to nie grozi! - Przewrócił ją i całował, aż dotarł do jej piersi. Sharon jęczała ogarnięta kolejną falą pożądania, ale on bezwzględnie odsunął się i usiadł.

- Chyba już cię przekonałem?

- Sadysta! - rzuciła, jej ciało domagało się czegoś więcej.

- Czy tak się mówi do swojego przyszłego męża? - spytał.

- Męża? Nie przypominam sobie, żebyśmy o tym mówili. Zdaje się, że przyszły pan młody prosi najpierw o rękę - odbiła piłeczkę, choć jej tętno galopowało niczym w gonitwie o najwyższą nagrodę. Jeszcze kilka godzin temu obiecywała sobie przestać się z nim widywać!

- Naprawdę? No to powinienem był chyba sprawdzić, jak to się robi. - Było jasne, że podjął jej własną grę. - O czym to mówiłem, zanim mnie zbiłaś z tropu? Aha, o Jess. - Westchnął. - To był kolejny powód, żeby się z tobą nie wiązać.

- Bałeś się, że ją tym zranisz? Rozumiem - powiedziała szybko, rozczarowana trochę, że tak prędko odsunął temat małżeństwa.

- Nie tylko to. Chciałem ochronić i ją, i ciebie. Niełatwo jest opiekować się niepełnosprawnym dzieckiem. Jest cała masa problemów, psychicznych i

praktycznych. Nie chciałem cię tym obciążać, zwłaszcza że dopiero co opiekowałaś się ojcem.

- Och Matt, nie bądź głupi! Nie wiesz, jak bardzo ją kocham? - Zwróciła ku niemu twarz. - Zdaję sobie sprawę ze wszystkich trudności, ale chcę ci pomóc. I będę zaszczycona, jeśli mi pozwolisz.

Oczy mu znów pociemniały.

- Nie wiem, czym sobie na ciebie zasłużyłem. Trzeba by cudu, żeby Jessica odzyskała władzę w nogach. Zrobię, co w mojej mocy, żeby mogła żyć samodzielnie, ale...

- Żadnych ale. Wiem, że to trudne, że mogą przyjść gorsze dni... - Spojrzała na niego. - Dlatego nie chciałeś, żebym ją odwiedziła w szpitalu?

- Tak. Kiedy wróciłem tamtego dnia do domu i zobaczyłem, co się dzieje, to było jak uderzenie pioruna. Poczułem, że nie wolno mi cię w to mieszać. Czemu miałabyś martwić się moją córką?

- Bo chcę. Bo cię kocham, przede wszystkim. I pragnę dzielić z tobą i dobre, i złe chwile. Biorę cię z całym dobrodziejstwem inwentarza.

Trzymał ją mocno w ramionach, jakby nigdy już nie miał jej wypuścić.

- Pomyśleć, że o mało cię nie straciłem! - szepnął załamującym się głosem.

- Wcale nie chciałam odejść - przyznała. - Nie mogłam tylko dać sobie z tym wszystkim rady. Tylko dlatego zgłosiłam się do tamtej pracy.

- I całe szczęście. Spojrzała na niego zaskoczona.

- Przeżyłem szok dziś rano, kiedy mi o tym powiedziałaś. To mnie zmusiło do zastanowienia. Zdałem sobie sprawę ze swoich błędów, i wtedy Bert zgłosił się przez radio, mówiąc, że jesteś w szpitalu. Przeraziłem się, że cię stracę.

Sharon uniosła brwi.

- Nie powiedział, że tylko uderzyłam się w głowę?

- Nie. Szczerze mówiąc, potwornie mnie wystraszył. Mówił, że nie wiadomo, jak poważne masz obrażenia. - Śmiał się. - Nie zdaje ci się, że nas w coś wrobiono?

- To znaczy, że Bert celowo pozwolił ci myśleć, że ze mną tak źle? - wykrzyknęła. - Chyba by tego nie zrobił...?

- Powiedzmy, że mam pewne podejrzenia. Jeśli to zmowa, nieźle im wyszło. Teraz musimy tylko zdecydować się, kiedy ślub, i wszyscy będą szczęśliwi.

- Nie zapomniałaś o czymś? - spytała, marszcząc brwi.

- Ach, to! Jeśli się upierasz... Wyskoczył z łóżka i przykleknął.

- Kocham cię, Sharon, i chcę, żebyś została moją żoną. Zgadasz się?

Nie wyglądał nawet śmiesznie. Widząc ciepło w jego oczach, wiedziała, ile ten moment znaczy dla nich obojga. Wyciągnęła rękę z uśmiechem.

- Tak. Wyjdę za ciebie. Kocham cię tak... Chwycił ją w ramiona, nie dając jej dokończyć.

RS

EPILOG

- Widziałaś?

Matt przyniósł świeżą pocztę. Zasłoniła oczy przed rozleniwiającym październikowym słońcem. Nie chciało jej się nawet spojrzeć na listy.

Mijał właśnie ich drugi tydzień w Hiszpanii. Mieszkali w willi rodziców Matta, którzy zajęli się w tym czasie Jessica. Był to wymarzony miesiąc miodowy: wylegiwanie się nad basenem w ciągu dnia i długie noce w czułych objęciach.

Ślub odbył się w niewielkim miejscowym kościółku. Jessica była drużką Sharon. W białej sukience w maleńkie pączki róż, prawie identyczne jak te, które ozdabiały jej wózek, wyglądała jak z obrazka. Kiedy posuwała się za Sharon wzdłuż nawy, wszystkich ogarnęło ogromne wzruszenie.

Potem, tradycyjnie, odbyło się przyjęcie. Bert, drużba, odczytał życzenia, a wśród nich kartkę z pokładu platformy wiertniczej z zaproszeniem, by państwo młodzi wybrali się tam w podróż poślubną. Woleli jednak Hiszpanię.

- Nie wiem, skąd ten zadowolony uśmiech, ale obiecuję ci, że się dowiem.

Roześmiała się. Matt czekał na odpowiedź.

- Obiecanki cacanki. No dobrze, co tam masz?

- Mama przysłała nam gazetę. Zgadnij, co tam jest? Sharon przyglądała się fotografii, która zajmowała niemal całą pierwszą stronę. Było to zdjęcie z ich ślubu. Przypomniała sobie, że zanotowała kątem oka obecność dziennikarza podczas ceremonii.

- Maczałeś w tym palce? - zapytała.

- Powiedzmy, że nie jest to dla mnie niespodzianką. Reklama jest bardzo wskazana, walczymy przecież o pieniądze na drugi helikopter. Władze obiecały nam dać taką samą sumę, jaką sobie uzbieramy.

- Nie posądzałam cię o takie wyrachowanie. Aż dziw, że nie sprzedałeś naszych zdjęć jakiejś plotkarskiej gazecie.

- No właśnie! - Roześmiała się, kiedy spojrzała na niego wzburzona. - Żartuję. Mówiłem ci, że Jessica urządziła małą wyprzedaz, żeby nam pomóc?

- Jest niesamowita!

- Uhm. Ona tak samo myśli o tobie. Wcale się nie zdziwiła, kiedy powiedziałem jej o ślubie.

- Czemu tak mówisz? - Sharon zmarszczyła brwi.

- Bo mam wrażenie, że to robota mojej matki. Ale Jess nie potrzebowała zachęty. Z miejsca cię pokochała, tak jak ja.

- Doprawdy?

- Oczywiście. Słuchaj, czemu tracimy tyle czasu? Zdążyła jeszcze rzucić okiem na gazetę, zapomnianą przy basenie, i z uśmiechem przeczytała napis pod zdjęciem. Miłość zdecydowanie unosiła się w powietrzu!

RS